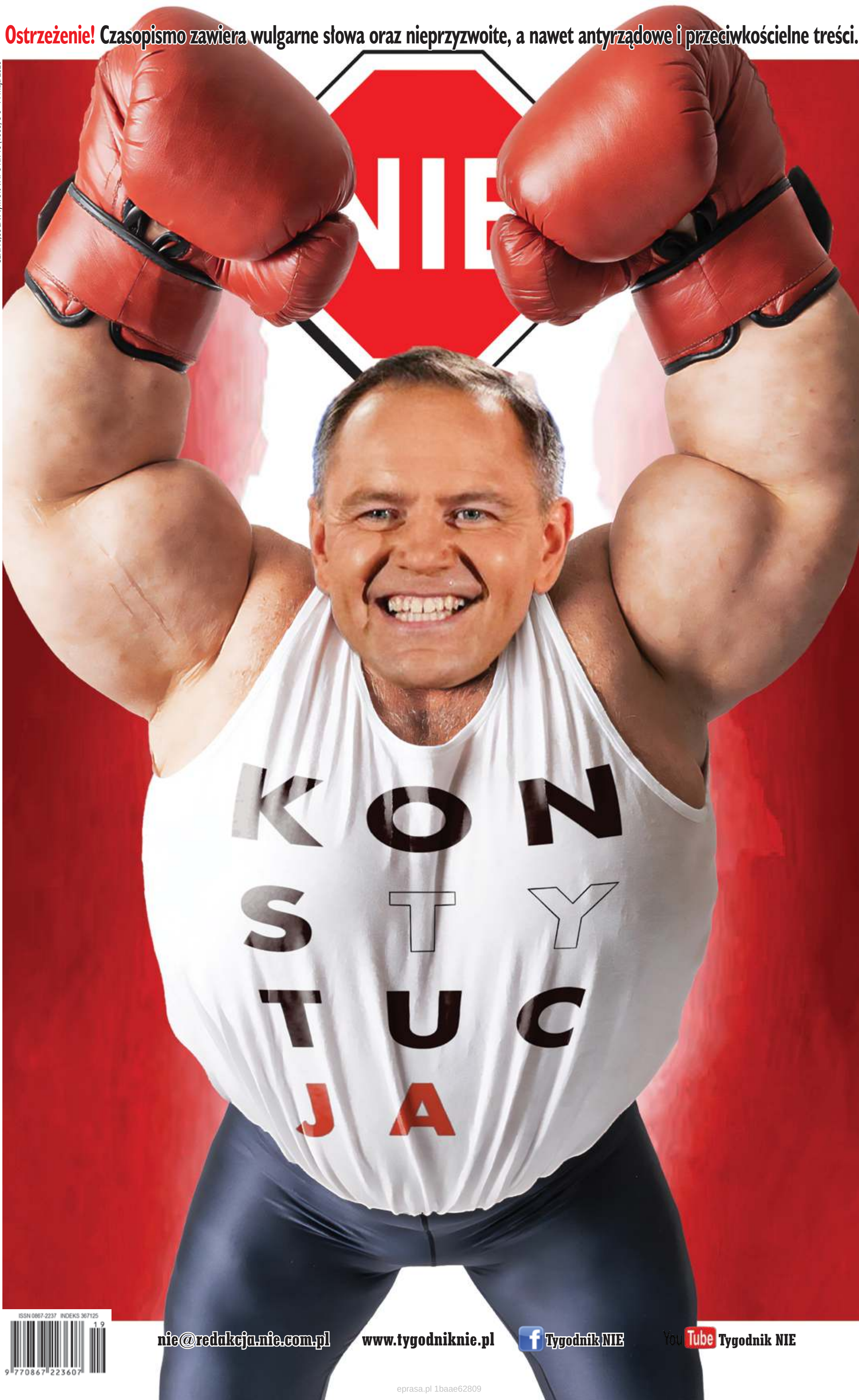


Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT • NR 19 (1859) • 8–14 maja 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE Tygodnik NIE

eprasa.pl 1baae62809

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WOJNA DOMOWA

„Radujmy się! Mam go!” – zawołał wicepremier Sikorski, wznosząc ręce w geście znanym z makatek z Janem Pawłem II, a ostatnio kojarzonym z Joanną Senyszyn, która wszakże nie trafiła jeszcze na makatki (to niedociągnięcie, które musi zostać szybko nadrobione). Radość wicepremiera wywołuje fakt, iż Andrzej Poczobut po pięciu latach więzienia wyszedł na wolność i przyjechał do Polski. Poczobut jest niewątpliwie dzielnym człowiekiem, któremu należą się wolność i odpoczynek. Ale cyrk, który wokół wymiany więźniów urządziły obie strony polskiej barykady, jest cokolwiek nieprzyzwoity. Wicenaczelnym „Gw” Bartosz Wieliński, który odbierał Poczobutę z granicy i natychmiast zrobił z nim wywiad, opisał w tym wywiadzie następującą wymianę myśli. Poczobut: „Im bardzo wizerunkowo zależało, żeby mnie wymienić na jakiegoś ważnego szpiega”. Wieliński: „I tak się stało. Wymienili cię na profesora Aleksandra Butiagina, rosyjskiego archeologa, który prowadził nielegalne wykopaliska na okupowanym przez Rosję ukraińskim Krymie”. Prof. Butiagin to uznany w świecie archeolog specjalizujący się w Myrmekjonie – starożytnym greckim mieście położonym na Krymie – którego Ukraina kazała nam aresztować, bo nadal prowadzi tam badania. Jeżeli tak wygląda „ważny szpieg”, którego Polska z dumą złapała, to nieco się niepokoi o nasze bezpieczeństwo kontrwywiadowcze.

Rząd po raz trzeci usiłuje przepchnąć przez sejm tę samą ustawę o kryptowalutach, z jedną zmianą w postaci zaostreżenia kar – bo zaostreżać kary polscy liberalowie bardzo lubią. Zondakrypto to „największa afera ostatnich dekad”, w którą „bezpośrednio wpłątani są byli i aktualni prezydent i prawicowe partie opozycji” – ogłosił premier tonem w najwyższym stopniu surowym. „Nie wiem, jakie jeszcze argumenty mogłyby dotrzeć do prezydenta Nawrockiego, prezesa Kaczyńskiego, panów Mentzena czy Bosaka. Macie ostatnią szansę, żeby pokazać, że coś do was dotarło i że wspólnie z rządem będziecie chcieli zablokować działania tego typu gangsterki” – tokował Tusk, żeby mieć zupełną pewność, że Nawrocki ustawę znowu zawetuje. Z szeregu jak zwykle wylała się Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, której formacja proponuje projekt uwzględniający uwagi prezydenta: „Projekt rządu jest dobry, ale pytanie brzmi: czy chodzi o to, żeby dobrym projektem postawić prezydenta pod ścianą i zostawić ludzi bez zabezpieczenia, czy jednak przyjąć rozwiązanie, które ludzi uchroni. W przekonaniu Polski 2050 najważniejsze jest to, żeby rozwiązanie przeszło”. No, to się po prostu nazywa appeasement! Nie oddamy ani guzika od ustawy! Nie będzie Batyr plul nam w twarz! Co prawda ustawy też nie będzie, ale honor Donalda droższy pieniędzy frajerów, co się polasz na krypto.

W cyrk z polskim Trybunałem Konstytucyjnym włączył się Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu, który wydał zabezpieczenie nakazujące „właściwym władzom” – czytaj Świączkowskiemu – „powstrzymanie się od utrudniania objęcia i wykonywania obowiązków sędziowskich”, inaczej mówiąc, dopuszczenie czwórki świeżo wybranych i nie do końca zaprzysiężonych sędziów do pracy. „Państwo ma obowiązek usunięcia wszelkich przeszkód uniemożliwiających im orzekanie. Dotarło?” – ożywił się Donald Tusk na Twitterze. Co Pan Premier z tym „dotarło”? Czy prezes Rady Ministrów naprawdę musi odnosić się do opozycji jak trener drużyny trampkarskiej w poprawczaku? A co do meritum: nie, nie dotarło. I nie dotrze. Nie po to prezydent łamał konstytucję, odmawiając zaprzysiężenia legalnie wybranych sędziów, żeby teraz Świączkowski się przestraszył ETPC. Może można było to rozegrać inaczej? Na przykład tak, jak sugerował prof. Maciej Gutowski: zamiast wysyłać do TK szefów stowarzyszeń sędziowskich, które przez osiem lat wojowały z PiS, wybrać szanowanych konstytucjonalistów, profesorów prawa o niepodważalnym autorytecie. Przy okazji odnotujemy, że w obecnym składzie TK, łącznie z tą nową szóstką, nie ma ani jednego konstytucjonalisty i ani jednego profesora tytularnego.

Rząd z opozycją pokłócił się też o amerykańskich wojaków. Bo Trump mówi, że ich zabierze z Niemiec, i PiS uważa, że powinniśmy od razu wsadzić palec pod budkę i powiedzieć, że ich chcemy, a Tusk ma wątpliwości, czy tak można kolegom Niemcom robić – bo to w sumie tak, jakby od razu zacząć chodzić z chłopakiem, który rzucił swoją przyjaciółkę. Przy okazji przypomniat o sobie tytan obrony narodowej Mariusz Błaszczak, który wygłosił w tym temacie opinię następującą: „Kosiniak-Kamysz to sobie może mówić, że chce, ale decyduje Donald Tusk, a Donald Tusk jest antyamerykański, nie ma żadnych wątpliwości. Radosław Sikorski też jest antyamerykański: on jest włączony w walkę polityczną w stanach Stanach Zjednoczonych po stronie demokratów”. My rozumiemy, że w oczach Mariusza każdy, kto jest przeciw PiS, jest antypolski – ale w USA to tak nie działa. Tam i republikańskie, i demokratyczne są amerykańscy jak chuj. Źródło oporów rządu zdefiniował w rozmowie z Onetem chcący zachować anonimowość minister: „Nie jesteśmy hienami”. Nie, nie jesteśmy. Hieny dopadają padlinę i ją zeżerają, jak jest świeża, a nie płacą jej 15 tys. dolarów od głowy – jak robi nasza Niepodległa Ojczyzna wobec amerykańskich żołdaków, czym właśnie pochwalił się wicepremier Sikorski: „Umowa o statusie wojsk jest, uważamy, konkurencyjna dla Stanów Zjednoczonych, bo wspieramy ten pobyt sumą 15 000 dolarów na żołnierza, więc zapraszamy”... Wicepremier Kosiniak-Kamysz nie mógł pozostać w tyle i zaprezentował swój plan pięcioletni: do roku 2030 polska armia będzie liczyć pół miliona żołnierzy. My proponujemy zakresić plan do 39, ostatnim razem bardzo to się sprawdziło.

W Nadleśnictwie Józefów na Lubelszczyźnie las stanął w ogniu, podczas gaszenia rozbił się samolot gaśniczy, zginął pilot. Nieszczęśliwy wypadek, trudne warunki, bardzo przykra wiadomość. Ale też *photo opportunity*. Do Łukowa dzielnie ruszyli: minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński i ministry klimat Paulina Hennig-Kloska. Ten pierwszy nie omieszkiał uświadomić narodu, że „sytuacja nadal jest bardzo bardzo trudna”, albowiem „wiatr, który wzmógł się, przyniósł wiele nowych komplikacji”. O tajemnicach klimatu poinformowała obywateli ministra klimat: „Sytuacja w samych lasach, kompleksach leśnych, tutaj na terenie Lubelszczyzny pozostaje bardzo trudna. Jak państwo wiecie, nie mieliśmy tutaj odpadów od wielu tygodni, co doprowadziło do tego, że wilgotność ściółki leśnej na terenie lasów spadła poniżej 10 proc.”... Bez pochodzącej wprost od ministry informacji o stanie ściółki leśnej na terenie lasów w samych lasach strażacy na pewno by sobie nie poradzili.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

Maj 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Świętego Borysa

Ostatnio poznałem wreszcie katolika. Jest całkiem sympatyczny.

Cd. św. Borysa (piątek)

Nad Pragę widać było przez Wisłę czerwoną poświatę. To wierni abepe Hosera grillowali postny barszcz.

Świętej Filipy

Proces byłego ministra Nowaka tak bardzo podnosi standardy etyczne, że można pęknąć ze śmiechu. Gdybym był posłem lub czymś takim i miał złożyć zeznania szczegółowe o tym, co posiadam, musiałbym zrobić remanent obrazów, mebli, kosztowności, zegarków. Następnie zatrudnić ekspertów z wszystkich tych dziedzin, żeby zrobili wycenę tysiąca przedmiotów. Lękać się, czy od złożenia zeznań coś mi nie przyrośnie. I czy to, co Daniszewska kupiła w szmateksie za drobne, katalogowo nie jest warte ponad 10 tys. zł. Oraz czy spodnie i marynarkę liczyć odrębnie, czy jako komplet, za który krawiec wziął ponad 10 tys. Straszna dyskryminacja: bogaci w praktyce nie mogą pełnić urzędów.

Świętego Jacka

Jeżeli ktoś kupuje Porsche albo Ferrari, powinien być od razu aresztowany, gdyż chce zagrażać życiu lub zdrowiu ludzi. Posiadacze aut szybkostrzelnych pędzą w ruchu jak na wyścigach, skacząc wozem z jednego pasa ruchu na trzeci. Takie prowadzenie wymaga umiejętności przewidywania, co zależy od inteligencji człowieka. Posiadanie wyścigowca to raczej rekompensata braku mózgu niż dowód jego posiadania. Wystraszeni wyścigiem inni kierowcy płynący z falą ruchu mają więc frajdę, jak wyprzedzają Ferrari, które ich wcześniej upokorzyło, by teraz utknąć za autobusem. Zazwyczaj jednak wracający z pracy wyścigowiec trafia do domu o pięć minut wcześniej niż inni. O tyle czasu dłużej musi się nudzić lub obcować z wrzaskliwą żoną i dziećmi.

Świętego Sylwiana

Z pieśni Pietrzaka wynika m.in., że „żeby Polska była Polską”, „zrzucił uczeń portret cara”. Jan Pietrzak wyssał ten fakt z opowieści o Bierucie, które czytał jako mały komuch. Ukazało się dzieło „Siedmiu wspaniałych” – biografie wszystkich I sekretarzy KC PZPR. Podają tam, że w 1905 r. uczeń Bolesław Bierut pieprzył kała-

marzem, strącając Mikołaja II i inspirując twórczość zjadłego, bo nawróconego antykomunisty Pietrzaka. W tym 1905 r. mojego dziadka-fabrykanta robotnicy wywozili na taczkach, a zachwycone tym córki dziadunia, w tym moja matka, stały w oknie i śpiewały „Międzynarodówkę”. Po francusku, bo polskich słów nie znały.

Świętej Judyty

Czytam rozkoszną książkę „1913”. Och, chciałoby się żyć wtedy właśnie, najchętniej w Berlinie. Kokoschka, Kandinsky, Munch, Klee i kilku innych malarzy tej miary wystawieni zostali na aukcji. Nikt nie kupił ani jednego obrazu. Za 1000 marek mogłbym wtedy mieć wszystkie i zarobić, wedle cen z 2013 r., 200 mln euro. Pewien niemiecki lekarz pisał sztuki teatralne według modnego wtedy i późniejszego freudyzmu, czyli pełne podświadomych bodźców, kompleksów Edypa i znaczących coś snów. Wezwano tego lekarza do chłopca, któremu jego kucyk odgryzł penisa. Dramaturg zaordynował kierowcy ambulansu: chłopca na chirurgię urazową, kucyka do doktora Freuda. Książki o Piskorskim i Himmlerze muszą czekać w kolejce.

Świętej Prudencji

Mam zasadę: nie wymieniam naszych gości z nazwiska, bo dzięki temu ich miewamy. Po wiem więc tylko, że dziś Daniszewska odwiedzona, Azor odpchlony, bo najlepszy polski felietonista opuścił Berlin. Nie pójde więc spać głodny jak co dzień.

Świętej Giseli

Dobry film w TV „Weekend z królem” nie jest pierwszym, który pokazuje, że w latach 30. ówczesna prasa solidarnie i dla zasad nie informowała o kalectwie Roosevelta ani nie pokazywała ułomności na zdjęciach. Na tym tle prezydent twierdził, że ludzie postrzegają przywódców tak, jak ci pragną być postrzegani. Wierzą w to politycy po dziś dzień i płacą za PR. Współcześnie Tusk chętnie kusytką o kuli, a Kaczyński rad by nie mieć nóg, gdyby to nie wymagało ich obciążenia. Publiczność lubi kalectwo i daje ono punkty w wyborach. Dotyczy to także kalectwa umysłowego.

Świętego Desire

Podano, że minister Mieczysław Wilczek, który w PRL wprowadzał kapitalizm, popełnił samobójstwo. Kilkanaście lat temu Wilczek, mój były kolega z rządu Rakowskiego, przyjechał do nas do Konstancina. Był w ciężkiej depresji. Opowiadał, że chciał się utopić, wszedł do rzeki, wahał się, wahał i nie umiał zdecydo-

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Przemysław Czarnek** apeluje, aby najpierw zakładać rodziny, a później kupować mieszkania. To jakby spuszczać wodę przed sranieniem.
- **80 tys. maturzystów** odwiedziło Jasną Górę przed egzaminami. Akurat Matka Boska miała wykształcenie od siedmiu boleści.
- **ZUS** ostrzega przed oszustami obiecującymi podwyższenie emerytury. To jest arabski książę na miarę naszych możliwości.
- **Donald Trump** poparł pomysł zmiany nazwy z ICE na NICE. Zamienił kata w kota.
- **Jarosław Kaczyński** chce całkowitego zakazu kryptowalut. Po zakazie lewactwa, homoseksualizmu i zielonego ładu będzie to kolejny sukces prezesa.
- **Kuria** ostrzega przed oszustami sprzedającymi świadectwa bierzmowania. Oszustów można rozpoznać po sutannie.
- **Włochy** stały się najbardziej zadłużonym krajem w UE. Teraz Włosi udają Greka.

MARTA M.



LISTONOSZ DONIOŚĆ

Bezmyślna pazerność ustroju

Spieszę podziękować Annie Grodzkiej za jej kolejną bajkę o świecie wolnym od reklam („Oddajcie nam naszą uwagę!”, „NIE”, nr 17–18/2026). Sprawa irytuje mnie (delikatnie mówiąc) od dawna, a szczerze mówiąc – potężnie wk(piiiiii)ja. (...) Nachalność, z jaką reklamo-przemocowcy pakują się nam w niemal wszystkie dziedziny życia, wywołuje bezsilną wściekłość. (...) Bo właśnie – jak słusznie zauważa Anna Grodzka – nie sama reklama, a bezcelny sposób, w jaki jest podawana, doprowadza do furii – mnie na pewno.

Jak inaczej nazwać urządzanie półgodzinnych halaśliwych seansów przed filmem w kinie (przed czym nie ma jak uciec), przerywanie niemal wszystkich filmów i programów w telewizji i radiu, które stały się już właściwie śmiertelnością z reklamami, w którym odechciewa się już grzebać, wcinanie się we wszystko w internecie z wymuszonym (zapłaconym) prawem pierwszeństwa?

Nieszcześnie Stanisław Lem mówił, że podczas przerywania filmu reklamami chodzi po mieszkaniu z zatkany uszami i zasłoniętymi oczami, gadając do siebie, po czym zapomina, co oglądał. Nie mam otóż siły nawet na to – przestałem chodzić do kin, nie oglądam telewizji, nie słucham radia. (...) Niech zabrzmi to patetycznie: przestrzeń kulturowa została zdevastowana przez bezmyślną pazerność ustroju, którego jedynym priorytetem i wytłumaczeniem jest zysk.

Czy państwo nie powinno pochylić się nad prawem obywatela do bezszkodowego uczestnictwa w kulturze? Czy państwo mnie słyszy?

Marcin Saar, Gdańsk

Niesiemy kaganek postępu i pokoju – tylko skąd tyle złości?

Wolność reglamentowana

Wyobraź sobie, że przychodzi do ciebie sąsiad, wynosi z kuchni lodówkę, z łazienki bojler, z piwnicy słoiki, z puszek po herbacie zabiera resztkę pieniędzy po babci, a po tygodniu wraca z paczką makaronu, robi sobie zdjęcie przy twoim płocie i mówi: „Pomagamy rodzinie w kryzysie”. Wkurwiłbyś się, co? To czemu cię nie wkurza opowieść o pomocy rozwojowej dla krajów Afryki?

Łykasz jak kaczka rybkę opowieść o migracji, terroryzmie, „niestabilności regionów” i tym całym eleganckim słowniku, którym przykrywa się fakt, że z połowy świata przez dekady robiono magazyn surowców, tanią fabrykę, poligon, śmietnik, plantację, rynek zbytu i posterunek graniczny. A kiedy z tego magazynu, fabryki, śmietnika i posterunku zaczęli uciekać ludzie, w europejskich mediach usłyszałeś, że problemem są islam, różnice kulturowe, demografia, brak oświecenia i zapewne zbyt ostro przyprawa zupa.

Nie, szanowni państwo, problemem nie jest to, że człowiek z Senegalu ma inną modlitwę niż mieszkaniec Frankfurtu czy Warszawy. Problemem bywa to, że ktoś wcześniej wyciągnął mu z morza ryby, z państwa podatki, z ziemi uran, z budżetu pieniądze na obsługę długu, z prawa pracy resztki godności, a z przyszłości jakąkolwiek perspektywę. A potem bardzo się zdziwił, że ten człowiek przełaził przez mury, wsiada do łodzi i wieje, gdzie się da.

Przyjrzyjmy się tej cudownej europejskiej alchemii: jak wyzysk zamienia się w „pomoc”, grabież w „partnerstwo”, granica w „zarządzanie migracją”, a przemoc w „stabilizację”.

Ryby, uran i pusta sieć

Zacznijmy od ryb, bo ryba psuje się od głowy, a w tej historii głowa ma często logo koncernu, ministerstwa rozwoju albo funduszu, który w broszurze pokazuje uśmiechnięte dziecko, a w praktyce – trawler mielący ocean jak maszynka do robienia pieniędzy. Environmental Justice Foundation opisała Senegal jako kraj, w którym przełowienie oraz nielegalne, nieraportowane i nieuregulowane połowy niszczą lokalne rybołówstwo i pchają ludzi na śmiertelną trasę ucieczki przez Atlantyk na Wyspy Kanaryjskie. W 2023 r. ta trasa pochłonęła ponad 3000 ofiar. Fundacja szacuje, że Afryka Zachodnia traci przez takie połowy co najmniej 2,3 mld dol. rocznie.

I teraz proszę zobaczyć taką scenę: europejski konsument kupuje rybę, europejski polityk mówi o obronie granic, europejski komentator mówi o „fali migrantów”, a senegalski rybak wyciąga pustą sieć. On nie musi czytać traktatów o neokolonializmie. Dla niego kolonialny wyzysk jest, jaki był: po prostu trwa. Gdy ryby i zyski odpływają w stronę korporacji, ludzie płyną łódkami przez morze – po szansę przeżycia.

Albo Francja i Niger. Tutaj liczby obnażają kolonialny układ lepiej niż jakkolwiek metafora. Organizacja Oxfam i nigerska sieć ROTAB przypominały, że jeszcze kilka lat temu we Francji jedna na trzy żarówki świeciła dzięki uranowi z Nigru, podczas gdy prawie 90 proc. Nigerczyków w ogóle nie miało dostępu do elektryczności. Jednocześnie czytamy, że w 2013 r. francuska Areva, dziś Orano, w jednym tylko kwartale osiągnęła 2,279 mld euro przychodów – więcej niż cały roczny budżet Nigru. Jesienią tego samego roku Areva miała w księgach kontraktów wartę 42 mld euro, czyli tyle, ile wynosi 20-letni budżet państwa Nigru.

Ten sam kraj, z którego przez dekady wywożono uran do europejskich reaktorów, pozostawał jednym z najbiedniejszych na świecie: ponad 60 proc. ludności żyło tam za mniej niż dolara dziennie, a większość wciąż nie widziała w domu żarówki. Nigerskie złoża, nigerska praca, francuskie przychody wielokrotnie przewyższające budżet całego państwa – i ciemność po stronie dawnej kolonii. To nie jest „rynek”, tylko podręcznikowy przykład kolonializmu, tyle że w wersji z reaktorem zamiast plantacji.

Senegal i ryby, Niger i uran – to tylko pojedyncze przykłady neokolonialnych relacji. Można wskazać ich setki. A jednak kiedy rośnie gniew przeciw Zachodowi, nasi komentatorzy, ci „nauczyciele demokracji”, teatralnie unoszą brwi. „Skąd ta nienawiść?” – pytają. Jak to skąd?! Z biedy, z wyzysku, z poczucia utraty godności i z beznadziei ludzi, którzy mają swoje państwo,

swoją flagę, swój hymn i swoje granice, ale traktowani są jak tanie zaplecze materiałowe zachodniej korporacji.

Ale przecież pomagamy!

Przykładem są wielkie projekty infrastrukturalne zwane „białymi słoniami”: kosztowne, często bezużyteczne inwestycje finansowane kredytami. Jak to działa w praktyce? Kredyt jest opakowany jako „pomoc rozwojowa”. Sprzedaje się go jako nadzieję na „skok w cywilizacyjnym rozwoju”, „musicie to mieć”. Wybudujemy wam autostradę, port morski albo lotnisko, a jak chcecie, to także piękny stadion. Wybudują. Ale większość kasy wróci do krajów-donatorów: kontrakty dostaną ich firmy budowlane, konsultingowe i dostawcy technologii z Północy. Tylko komu w biednym kraju służy autostrada? Czyje statki wpływają do portu i co przewożą? Kto i jak często korzysta z lotniska?

Projekty są często obliczone wyłącznie pod kątem opłacalności inwestycji. Nie generują takich wpływów z eksportu, cel i opłat za użytkowanie, jakie wpisano do biznesplanu. I co najważniejsze: niosą ze sobą stałe koszty utrzymania. Dług jednak zostaje, odsetki lecą, a państwo, żeby zapłacić raty, musi ciąć wydatki – zwykle na zdrowie, edukację i usługi społeczne.

CADTM, czyli Committee for the Abolition of Illegitimate Debt, wylicza, że kraje Globalnego Południa w 2012 r. spłaciły swoim wierzycielom 182 mld dol. długu, podczas gdy oficjalnej „pomocy” rozwojowej dostały 133 mld – netto. To Południe kredytuje Północ, a nie odwrotnie.

Dziś kolonializm to także polityka długu. Dawniej przyjeżdżał gubernator z pieczętką i ka-

„A może dziś zaryzykuję przepłynięcie morza, bo dawno nie miałem aktywności outdoorowej”.

Europa mówi: prawa człowieka – tak! Ale tylko u nas. Tylko dla „naszego” człowieka. Na tym polega obłuda zachodniego języka. Bo co z wolnością od długu niemożliwego do spłacenia, kiedy gros marzy zostaje po stronie Zachodu? Co z wolnością od głodu produkowanego przez dumping, bo Europa dopłaca do swojego rolnictwa? Co z wolnością od życia w kraju, którego zasoby są formalnie jego, a ekonomicznie cudze?

A gdy zaczyna pachnieć wolnością

Gdy państwa próbują odzyskać kontrolę, gdy mówią: dość, chcemy naszych zasobów, naszych podatków, naszej ziemi, naszej decyzji – wtedy zaczyna się lekcja o demokracji. Zachód kocha demokrację tylko wtedy, kiedy wygrywa w niej kandydaci przyjaźni rynkom, ambasadom i inwestorom. Gdy gdzieś w świecie zaczyna pachnieć nacjonalizacją, kontrolą kapitału albo odmową bycia tanią szufladą na cudze interesy, wtedy wcześniejsza „demokracja” okazuje się „populizmem”, „destabilizacją”, „reżimem” oraz zadaniem dla sił specjalnych. Ostatnio także celem wyrzutni rakiet.

Bo my – Zachód – tylko na miłość zasługujemy. Gotowi jesteśmy nawet głosić, że przez ostatnie ćwierć wieku nad Bliskim Wschodem, Afryką Północną i Azją Centralną przelatowały wyłącznie bociąny. A jeśli nie tylko one, lecz także drony, rakiety i myśliwce, to oczywiście tylko w obronie ludzi ciemionych w zbrodniczych satrapiach.

Projekt Costs of War szacuje, że bezpośrednia przemoc w wojnach po 11 września 2001 r. zabiła ponad 940 tys. ludzi, m.in. w Iraku, Afganistanie,

Ale europejska opinia ma jedną szczególną cechę: potrafi zauważyć każdy cudzy fanatyzm, a własny fanatyzm neoliberalnej ideologii i własną przemoc przedstawiać jako prawo, obowiązek cywilizacyjny i troskę o bezpieczeństwo.

Prawa człowieka z rachunkiem w tle

Libia jest tu przykładem podręcznikowym. Po interwencji i rozpadzie państwa stała się przestrzenią handlu ludźmi i tortur. Amnesty International pisała, że europejskie rządy były świadomie współodpowiedzialne za system, w którym dziesiątki tysięcy uchodźców i migrantów, zatrzymywanych przez libijskie władze imigracyjne, doświadczały tortur i nadużyć. To wynalazek „moralnej” Europy: nie brudźmy sobie rąk, tylko płacimy komuś, kto brudzi je za nas.

I tu dochodzimy do sedna – politycznej hipokryzji. Zachód głosi prawa człowieka i równocześnie produkuje warunki, w których prawa człowieka stają się fikcją: przez dług, wyzysk surowcowy, dumping, raje podatkowe, wspieranie autokratów, wojny i militaryzację granic.

A potem dziwi się, że w tych warunkach pojawiają się represje, islamski radykalizm, migracje, przemoc, terroryzm, głód i rozpacz.

Nie chcę romantyzować tzw. krajów Południa. Nie chcę udawać, że każdy generał, oligarcha, minister i lokalny kleptokrata jest jedynie niewinną ofiarą Paryża, Waszyngtonu czy Brukseli. To byłaby opowieść

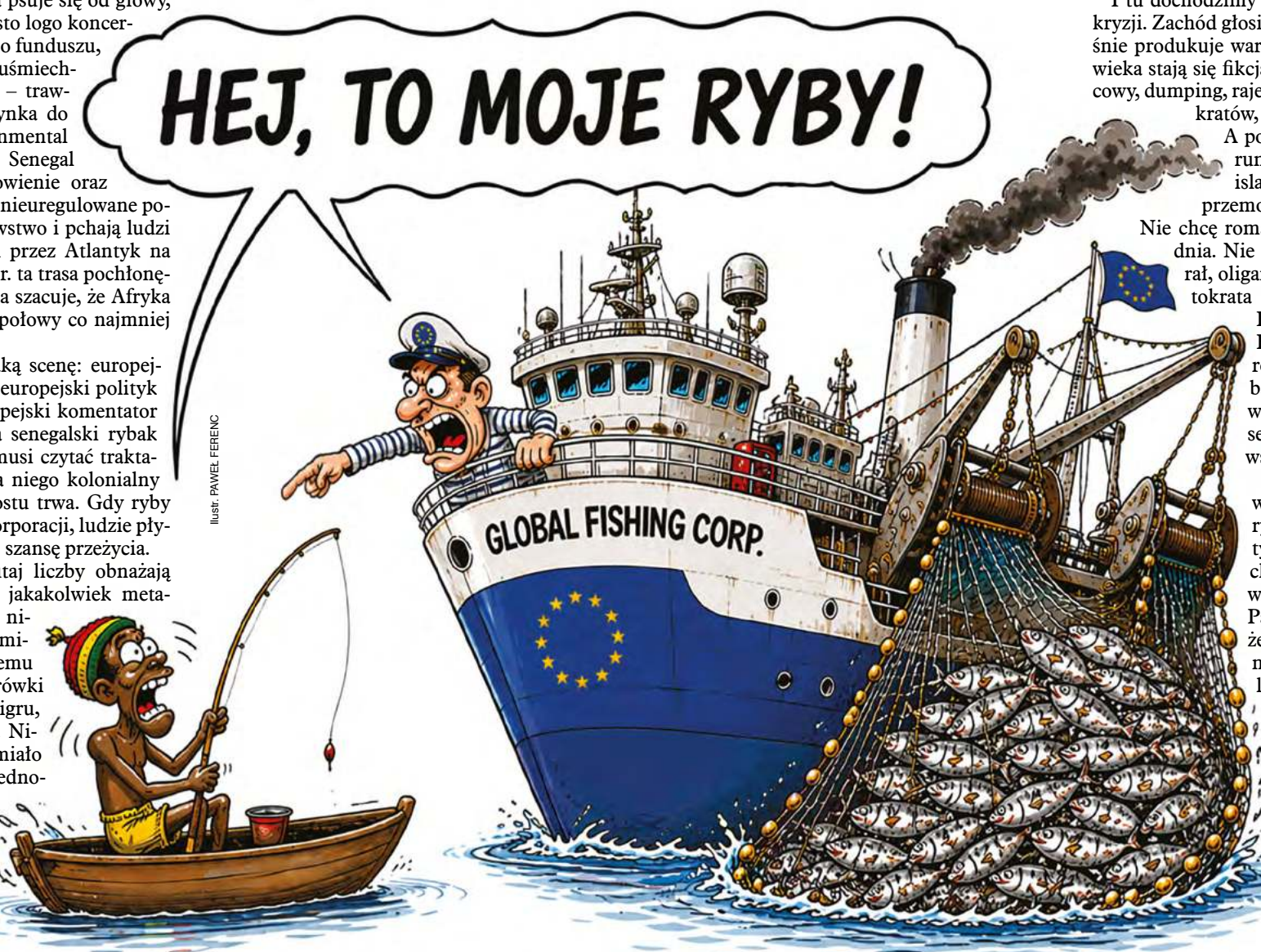
równie głupia jak liberalna bajka o wolnym rynku, który wszystkim daje równe szanse i „przyplwy, który podnosi wszystkie łódzie”.

Ale trzeba powiedzieć uczciwie: lokalna korupcja i autorytaryzm bardzo często są nie tylko przeciwnieństwem zachodniego systemu. One bywają jego podwykonawcami. Państwo ma być na tyle silne, żeby pilnować funkcjonowania tutejszych kopalni, ustalonych przez obcych granic i poskramiać protesty, ale na tyle słabe, żeby nie opodatkować koncernu, nie kwestionować ani nawet nie renegocjować długu i nie zapytać obywateli, czy chcą być zapleczem cudzej wygody.

Dlatego kiedy następny razem usłyszę, że „Europa i Stany Zjednoczone nie mogą przyjąć całego świata”, odpowiem: oczywiście, nie mogą. Ale mogłyby przestać urządzić pół świata tak, żeby ludzie nie mieli po co w nim zostawać. Mogłyby przestać kraść ryby, wyprowadzać zyski i zostawiać ochłapy, budować mury, wspierać dyktatorów i zamieniać prawa człowieka w dekorację do handlu bronią.

Bo imigranci nie przyplwają znikąd. Przyplwają z miejsc, z których wcześniej odpłynęły ryby, podatki, światło, woda, bezpieczeństwo, praca, suwerenność i nadzieja. Przyplwają z krajów, którym neoliberalny, kapitalistyczny Zachód najpierw zrobił wykład z praw człowieka i demokracji, potem wystawił fakturę, zabrał surowce, zamknął granice, a na końcu – z miną człowieka głęboko urażonego cudzym wkurwieniem – zapytał: skąd w was taka nieufność do demokracji? Skąd tyle gniewu? Nie chcemy was – przyjmijcie naszą kulturę albo wracajcie do siebie.

ANNA GRODZKA



rabinem. Dziś przyjeżdża delegacja z prezentacją oraz obłudnym uśmiechem i pod hasłem pomocy sprzedaje na kredyt „białe słonie”. Organizacja Debt Justice podaje, że płatności długu krajów o niższych dochodach potrojiły się w ostatniej dekadzie i w 2024 r. osiągnęły poziom najwyższy od 30 lat. Co to znaczy w praktyce? To znaczy, że zanim dziecko dostanie nauczyciela, a pielęgniarza pensję, posiadacz obligacji dostanie odsetki. Zanim wieś dostanie drogę, miasto wodociąg, szpital leki, a młody człowiek jakąkolwiek szansę, budżet biednego państwa zapłaci długi.

Dlaczego tak jest? Bo pomoc rozwojowa prawie nigdy nie jest inwestycją w edukację, nowoczesną technologię przynoszącą dochody ani w źródła energii i wody. Idzie w parze z przymusem, szantażem, przekupstwem i produkcją złudzeń, pomnażając biedę.

A wtedy jakiś tuman w Europie odkrywa „kryzys migracyjny”. Jakby migracja spadała z nieba. Jakby tam ludzie budzili się rano i mówili:

Syrii i Jemenie, w tym ponad 432 tys. cywilów. Według tego samego źródła wojny po 11 września doprowadziły do przymusowego wysiedlenia co najmniej 38 mln osób. Trwa zachodnie „zaprowadzanie porządków” wokół Iranu, Libanu i Jemenu oraz izolacja gospodarcza Kuby. A to nie cała przemoc. Co zdarzy się jeszcze?

A potem przychodzi polityk i mówi, że „oni nas nienawidzą za demokrację”, „za chrześcijańską kulturę”. Nie, kochany. Czasem nienawidzą nas za checkpoint, za drona, za martwego kuzyna, za sankcje, za tortury, za okupację, za ludobójstwo i eksterminację, za więzienie bez procesu, za państwo rozbite tak skutecznie, że z jego gruzów wyrasta spontaniczna milicja, czarny rynek, kaznodzieja z bombą oraz kałasznikowem i radykalny, brutalny przywódca.

Oczywiście, religijny fanatyzm istnieje. Nienawiść do globalnego kapitalizmu także. Oczywiście lokalne elity też są często skorumpowane, brutalne i cyniczne.

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej pracuje nad ustawą, której przepisy zakazają umieszczania dzieci w domach pomocy społecznej, a kierowanie do nich dorosłych będzie możliwe, tylko jeśli samorząd nie będzie w stanie zorganizować wsparcia na miejscu. DPS-y mają swoje miejsce w systemie opieki nad dorosłymi, ale zdecydowanie nie są miejscem dla dziecka. Wychowywanie się kaszajada wśród zaślinionych dziadków z demencją to słaby pomysł. Przepisy wprowadzają zasadę, że pierwszym, naturalnym i obowiązkowym kierunkiem dla dziecka jest piecza zastępcza. Również takiego z głęboką niepełnosprawnością. Pomysł spowodował kurwusiostr dominikanek, które prowadzą w Broniszewicach DPS „Dom Chłopaków” dla chłopców i mężczyzn z głębokimi deficytami neurologicznymi i ich konsekwencjami. Zakonnice odbębniły rajd po mediach od Kanału Zero po TVN, żeby przekonać opinię publiczną, że ich wzorcowej placówce grozi zamknięcie. Kłopot w tym, że to gówno prawda.

„Dom Chłopaków nie jest potrzebny, nie służy wystarczająco Dzieciom z największymi niepełnosprawnościami, nie wspiera odpowiednio polskich Rodzin. Taką wizję przedstawia dziś Pani Minister Katarzyna Nowakowska” – napisały pituchny w swoich social mediach.

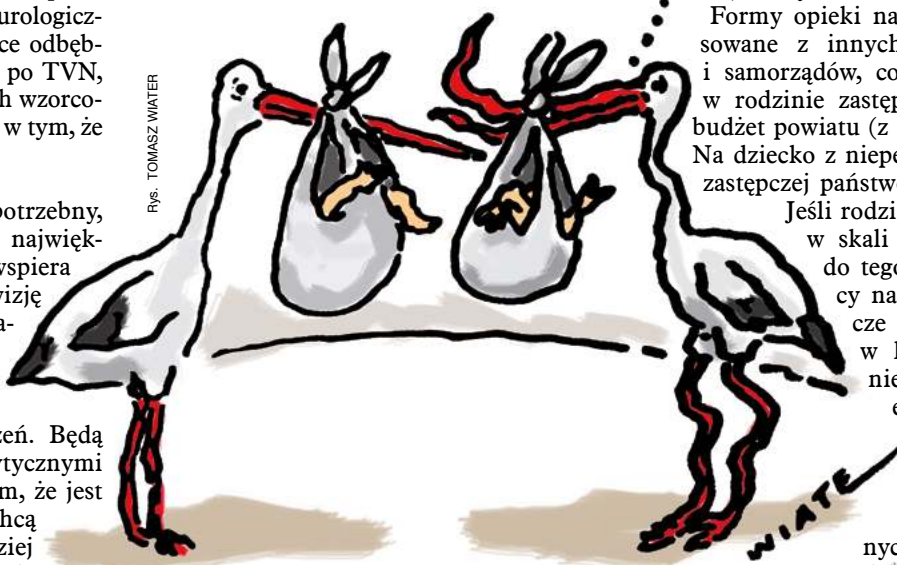
„Bardzo smutna wiadomość. Zablockujemy tę ustawę, ale bez złudzeń. Będą próbować to zrobić interpretacją, wytycznymi czy metodą faktów dokonanych. Wiem, że jest wiele osób w Polsce, które wciąż nie chcą w to wierzyć. Mamy jednak dziś bardziej bolszewicki rząd niż komunistyczny, który pamiętam z dzieciństwa. Ale nie tracimy nadziei. Żadna władza nie trwa wiecznie” – skomentował sprawę cytowany przez portal wPolityce.pl Bartłomiej Wróblewski z PiS. To zabawne, bo reforma formalnie została zaplanowana jeszcze za rządów Prawa i Sprawiedliwości, kiedy przyjęto Strategię Rozwoju Usług Społecznych do 2030 r. Nowelizacja ją realizuje i jest zgodna z Konwencją o prawach osób z niepełnosprawnościami, którą Polska ratyfikowała jeszcze w 2012 r.

Z grubej rury pojechał też DPS św. Rocha w Poznaniu, również prowadzony przez zakonnice, serafitki. „Sprawa jest pilna, bo proponowane przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej zmiany w ustawie o pomocy społecznej zakładają zakaz przyjmowania do DPS dzieci od 2027 r., nie dając realnej alternatywy, gdzie te dzieci będą umieszczane. Utopijnie zakłada się, że w rodzinach zastępczych (choć obecnie czeka ok. 1900 dzieci zdrowych na umieszczenie w takich rodzinach)” –

Czy zakonnice aferzystki uwalą nowelizację ustawy o pomocy społecznej?

Wojna o kalekie bachory

DOSTARCZAM TYLKO
UPOŚLEDZONE



RYS. TOMASZ WATKIN

napisały siostry na swojej facebookowej stronie. Tymczasem fakty są zgoła inne.

Domów dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnych intelektualnie jest 36 (2,5 tys. miejsc). System oferuje 67 domów typu łączonego (dla dorosłych z niepełnosprawnością intelektualną oraz dzieci i młodzieży z tym samym zdrowotnym fantem) – tam mieszka 320 dzieci. W DPS-ach mieszka 967 dzieci z niepełnosprawnościami. Natomiast w pieczy rodzinnej (głównie w rodzinach zastępczych i rodzinnych domach dziecka) wychowuje się 8,4 tys. takich smarkaczy. Co więcej, w rodzinach – zarówno zastępczych, jak i adopcyjnych – jest cała masa dzieci z niepełnosprawnością w stopniu głębokim i znaczącym. Leżących, karmionych pozajelitowo, niezdolnych do samodzielnego funkcjonowania. Dlatego zamiast o prawo do wciskania bachorni do DPS-ów trzeba walczyć o wsparcie takich właśnie rodzin. Chętni do przyjęcia pod swój

dach uszkodzonych purchlaków są. Dlaczego zatem gminy wolą wsadzić dzieciaka do kilkukrotnie droższego DPS-u niż poszukać im rodzin? Diablek jak zwykle tkwi w szczegółach.

Formy opieki nad dziećmi są różnie finansowane z innych części budżetu państwa i samorządów, co tworzy patologie. Opieka w rodzinie zastępczej obciąża bezpośrednio budżet powiatu (z dotacji celowej z MRPiPS). Na dziecko z niepełnosprawnością w rodzinie zastępczej państwo daje 1832 zł miesięcznie. Jeśli rodzina jest zawodowa (6,3 proc. w skali kraju wg GUS), dochodzi do tego pensja opiekuna w okolicy najniższej krajowej. Jest jeszcze świadczenie pielęgnacyjne w kwocie 3386 zł dla dzieci niezdolnych do samodzielnej egzystencji (notorycznie odmawiane nawet ciężkim przypadkom).

Opieka w DPS-ach i innych placówkach jest w dużej części refinansowana z dodatkowych źródeł. Są to dotacje celowe, PFRON, NFZ itd. Powiat czy gmina mają ograniczony budżet na pieczę zastępczą. Zainstalowanie dzieciaka w DPS-ie zdejmuję go z puli rodzin zastępczych i przerzuca ciężar finansowy gdzie indziej. Dla porównania w wielu powiatach koszt DPS-u dla dzieci z niepełnosprawnościami wynosi 7,5–12 tys. zł miesięcznie. W placówkach o wyższym standardzie przekracza 12–18 tys. zł. Można pomyśleć, że wystarczyłoby przekierować kasę z jednej puli do drugiej, żeby wspomóc deinstytucjonalizację problemu. Niestety, nowela tego nie przewiduje.

Projekt nie zawiera mechanizmu, który automatycznie przekierowałby oszczędności z DPS-ów na zwiększenie finansowania pieczy zastępczej. Resort rodziny w ocenie skutków regulacji pisze nawet, że nowelizacja nie generuje dodatkowych kosztów dla budżetu państwa i samorządów. Pieniądze mają pochodzić głównie z istniejących pul i projektowych programów unijnych. Trudno to nazwać solidnym zabezpieczeniem tematu.

Aktualnie jedna czwarta rezerw budżetów samorządów jest przeznaczana na pieczę zastępczą. Dzieje się tak, ponieważ dotacje celowe z państwowego państwa na wspomnianą pieczę są niedoszacowane.

Nie pokrywają rzeczywistych kosztów (od wynagrodzeń rodzin zastępczych przez specjalistyczną opiekę po rehabilitację dzieci z niepełnosprawnościami itd.). Dzieje się tak dlatego, że liczba bachorni w rodzinach zastępczych stale rośnie. Coraz więcej dzieci ma orzeczenia o niepełnosprawności. Stawki świadczeń dla RZ nie nadążają za inflacją i realnym kosztem utrzymania małoletniego. Wskutek tego powiaty muszą brać kasę z własnych budżetów z puli, którą powinny przeznaczać na inne nieprzewidziane wydatki i inwestycje.

Miesięczny koszt przebywania mieszkańca w „Domu Chłopaków” w Broniszewicach został ustalony na 10 659,09 zł. Przeznaczenie takich pieniędzy na rodzinną pieczę mogłoby rozwiązać wiele jej problemów. Ba, przy silnym wsparciu państwa część tych dzieci nie musiałaby nawet opuszczać rodzin biologicznych. Siostry z „Domu Chłopaków” biją pianę o likwidacji placówki, lecz brak kierowania do niej małoletnich nie sprawi, że nie będą mogły zajmować się starszymi podopiecznymi. Zawsze znajdą się beneficjenci systemu. Nie muszą to być smarkacze. Dotychczasowi rezydenci domu będą mogli w nim też pozostać. Dzieci potrzebują więzi, a nie zespołu zmianowego i dożywocia w jednym pokoju. Powinni to zrozumieć zarządcy DPS-ów i Ministerstwo Finansów. Projekt nowelizacji wciąż jest na etapie konsultacji społecznych.

IDALIA DUBICKA

prawo do odpowiedniej pomocy w razie kłopotów ze zdrowiem.

Istota tego modelu funkcjonowania wspólnoty życia i pracy polega na tym, że oprócz pensji pracownik uzyskuje za swoje podatki swoistą drugą, pośrednią placę – w postaci dostępu do usług publicznych, do systemu spożycia zbiorowego. Warunkiem jest to, by wspólnota życia i pracy dysponowała efektywnym publicznym systemem zdrowia, edukacji (bez szkół prywatnych jak w Finlandii); by otaczające środowisko naturalne pozwalało oddychać świeżym powietrzem i cieszyć oko zielenią; by starość nie była ani głodna, ani chłodna.

Przypominajmy przy każdej okazji: firmy prywatne muszą osiągać zyski dla udziałowców. Niech sobie egzystują, ale bez związków z publicznym systemem. I to powinno też dotyczyć zatrudnienia lekarzy, żeby wykluczyć powszechną praktykę – przyjąć pacjenta w prywatnym gabinecie, a następnie leczyć go z wykorzystaniem państwowego sprzętu w placówce publicznej.

Nadciaga horda

Czy lewicowy ornament nadwiślańskich liberałów nie potrafi tego wytłumaczyć wielbicielom Mentzena? Przecież tylko dwie czy trzy osoby z setki opuszczających szkoły mogą zostać przedsiębiorcami! Nazywam się Milijon, bo za miliony kocham...

A tymczasem nosiciele teczek za partijnymi bossami, sprawni potakiwacze i pyskacze znaleźli drogę do publicznych funduszy wiodącą poprzez man-

dat od wyborców. Umożliwia to duża swoboda dysponowania aparatem państwa. Stanowią prawo, używają mediów do marketingu wyborczego, posiłkują się funkcjonariuszami frontu ideologicznego i agencjami ochrony państwa. Czują się u siebie w sejmie, w rządowych pałacach i ministerstwach jak magnaci i warcholska szlachta I RP. Ich główna specjalność to standuperka oraz umiejętne fastrygowanie mechanizmów przechwytywania publicznej kasy. Lokalnych działaczy wynagrodzą posadami w zarządach komunalnych spółek. Komuś przecież musi służyć lokalna samorządność.

Dzięki staraniom premiera o lepszą Polskę zarejestrujesz firmę w jednym okienku, on skonstruuje dla ciebie „daninę”, pracowników też ci zdyktuje, ułatwi bankowy kredyt na parę dekad. To przecież przez nich przemawia Duch Przedsiębiorczości małego Janusza, dużego Rafała i Elona Wielkiego. Stworzyli sobie lokalny raj podatkowy w postaci tzw. rodzinnych fundacji – czarna dziura dla dochodów takich tytanów przedsiębiorczości jak posłowie Mentzen, Gawłowski, Nowak, Wipler, Obajtek.

Inwalidzi z wyborów. Ale może być jeszcze gorzej. Sztukmistrzów „obywatelskiej” standuperki, augiaszy prywatyzacji, kaspirowskich polityki jak Hołownia, obrońców zygot jak Kosiniak-Kamys, lewice, która wstąpiła się brzydkiego słowa na „k” – zastąpi pokolenie potomków związku Endeka z Sanacją. Nadciaga horda patriotów, takich jak „Batory”, Oze-Sroze, wójt z Pcimia, piwowar z Konfederacji. Do tego pisowskie tapiry, lokalni działacze zasłużeni dla partii-matki. Drużyna wyselekcjonowana przez emerytowanego inteligenta z Żoliborza. W tej sytuacji pozostanie szepetucha polecana przez tiktokowego Sławomira. On sam w razie potrzeby ma Luxmed.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

MÓZDZEK TYGODNIA

Jasny wiosenny poranek. Rzeško, ale już nie mroźnie. Dzień zapowiada się słoneczny, ciepły, prawie letni. Idziesz beztroško polną drożką. Krople rosy niedługo znikną z przydrożnych chwastów: mleczy, rdestów, babek i krwawników. Wietrzyk wpadnie w krzaki i zaraz z nich wypadnie.

Tuż przy ścieżce widzisz kamień. Zwykły, bazaltowy, poprzetykany kwarcytem, wielkości piłki do szczypiorniaka. Aż masz ochotę podnieść go i zważyć w dłoni. Albo, gdybyś się nie bał o stopę, może nawet byś go kopnął. Ale nie kopiesz, bo nagle spostrzegasz, że coś spod kamienia wypelza.

Co to? – zastanawiasz się. Wyjątkowo duża dżdżownica albo szara traszka, wciąż zdrtwiała po zimie? Może padalec? Zaskroniec? Wypelza i podnosi niewielką głowę. Schylasz się, żeby lepiej zobaczyć jaszczurkę lub węży.

Coś ci świta. Skądś znasz tego człowieczka, bo to najwyraźniej ludzki organizm. Mijają sekundy i już wiesz! To Marcin Mastalerek, były szef gabinetu byłego prezydenta.

Mastalerek wypłuwa kawałek odgrzewanego kotleta, patrzy ci w oczy i mamrocze: – Konflikt prezydenta i rządu paraliżuje państwo, pozbawia naród szans rozwojowych, wreszcie jest niebezpieczny dla Polski i jej obywateli, zwłaszcza w czasie wojny toczzonej u wschodnich granic.

– Co? – upewniasz się, bo bardziej banalnej diagnozy sytuacji politycznej nigdy wcześniej nie słyszałeś.



ILUSTR. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Dlatego powołałam komitet obywatelski, który ma zebrać 500 tys. podpisów pod wnioskiem o referendum w dniu wyborów parlamentarnych w 2027 r. Pytanie będzie fundamentalne i proste jednocześnie.

– Jakież? – pytasz, rozglądając się wokół i wciąż się dziwiąc, że rozmawiasz z maciupeńskim człowieczkiem, który żyje i gada ludzkim głosem.

– Jaki system władzy wybierasz: prezydencki jak w Ameryce czy kanclerski jak w Niemczech? – odpowiada Mastalerek.

Jasne! Polacy nigdy nie wybiorą czegoś, co niemieckie, z wyjątkiem samochodów.

Nie wychodząc ze zdumienia, ostatecznie nie kopiesz kamienia, tylko jak najszybciej zabierasz się stąd, bo gdybyś został, to spod kamienia mógłby jeszcze wypelznąć Andrzej Duda.

PRZEMYSŁAW ÓWIKLIŃSKI

Amerykańscy żołnierze mają u nas immunitet równy niemal immunitetowi dyplomatycznemu. Dlatego amerykański wojskowy obecny na terytorium Rzeczypospolitej może mieć gdzieś polskie prawo, polską policję, prokuraturę i sądy. I to już nie tylko w praktyce, w ramach przyjętego zwyczaju, ale formalnie, zgodnie z literą porozumień.

Poza prawem

Do 2020 r. obowiązywał mechanizm oparty na porozumieniach NATO, gdzie Polska miała teoretyczne prawo ścigania żołnierzy USA za przestępstwa popełnione na jej terytorium. Teoretyczne, bo praktyka była inna. Można się było zrzekać jurysdykcji na rzecz sądu amerykańskiego. Zawsze można było „porozumieć się”. Zwłaszcza gdy incydent miał miejsce w czasie służby – a co to znaczy „w czasie służby”, ustalała strona amerykańska.

Z chwilą wejścia w życie bilateralnej umowy EDCA nie ma już nawet tej cienkiej warstwy fikcji. Polska de facto zrezygnowała z jurysdykcji wobec żołnierzy USA także wtedy, gdy ci popełnią przestępstwo prywatnie, poza służbą, poza bazą.

Jeśli pijany żołnierz USA spowoduje wypadek śmiertelny pod Radomiem, zostanie przejęty przez amerykańskich żandarmów i wywieziony do bazy. Jeśli zgwałci kobietę w Białymstoku – zostanie odesłany do USA. A potem? Potem nic. Bo jeśli czegoś uczy historia podobnych przypadków z Niemiec, Japonii czy Włoch, to właśnie tego, że za oceanem takie sprawy rozpluwają się we mgle. Nikt nie zna wyroku, nikt nie zna nazwiska, nikt nie wie, czy w ogóle toczyło się postępowanie.

W Polsce dotychczas nie było precedensu, by obywatel amerykański w mundurze został postawiony przed polskim sądem za czyn poza służbą. A w innych krajach przynajmniej od czasu do czasu wybuchają skandale. Na Okinawie po brutalnym przestępstwie dokonanym przez żołnierzy USA władze japońskie wymusiły, by sprawa trafiła przed japoński sąd. We Włoszech, gdy pilot amerykańskiego myśliwca przeciął linę kolejki linowej i zabił 20 osób, sprawa również nabrała rozgłosu. Ale skończyło się jak zwykle: sąd amerykański, łagodny wyrok, sprawa zamknięta. W Polsce nie wybuchła nic – bo nawet nie dochodzi do momentu, w którym coś mogłoby wybuchnąć.

Kasa za ochronę

Na obecność US Army w naszym kraju Polska przeznacza rocznie 500 mln dolarów, czyli niemal 2 mld zł. Nie jest to jednak całość rachunku, bo to tylko kasa na utrzymanie i bieżące funkcjonowanie naszych sojuszników.

Gdy jednak zajrzymy do pozycji „przygotowanie infrastruktury”, czyli tego wszystkiego, co trzeba zbudować, zanim pierwszy amerykański żołnierz się pojawi, to i tu również pojawia się liczba około pół miliarda dolarów, ale tym razem jako koszt inwestycyjny. To zaś oznacza, że Polska wydała – lub jest w trakcie wydawania – kolejnych niemal 2 mld zł na same bazy, magazyny, lotniska i zaplecze logistyczne. W praktyce więc mówimy już o 4 mld zł.

A to i tak dopiero początek liczenia. Bo infrastruktura wojskowa nie powstaje w próżni. Samo dostosowanie jednego lotniska do przyjmowania ciężkich samolotów transportowych to wydatek liczony w dziesiątkach milionów dolarów. Jeśli takich lokalizacji jest kilka, rachunek automatycznie rośnie do poziomu miliarda złotych i więcej. Do tego dochodzą magazyny sprzętu, których budowa dla ciężkiego uzbrojenia – czołgów, transporterów, artylerii – to inwestycje idące w kolejne setki milionów złotych.

Jeszcze bardziej niewidoczne, ale równie kosztowne są drogi i kolej. Modernizacja jednej linii kolejowej pod transport sprzętu wojskowego to wydatek rządu kilkudziesięciu milionów złotych na odcinek, a w skali kraju mówimy o setkach milionów, jeśli nie miliardach. Drogi dojazdowe do baz, wzmocnione mosty zdolne przenieść ciężar czołgów, przebudowa skrzyżowań – każdy taki element to kolejne miliony.

Gwarant naszego jutra

Ile kosztują i co dają amerykańscy żołnierze na polskiej ziemi

Do tego dochodzi koszt utrzymania tej całej infrastruktury, który idzie w setki milionów złotych rocznie. Jeśli przyjąć ostrożnie 300–500 mln zł rocznie na eksploatację, energię, remonty i zabezpieczenie, to w ciągu dekady daje to kolejne 3–5 mld zł. Czyli sama obsługa tego, co już zbudowano, zaczyna kosztować więcej niż pierwotna inwestycja.

W efekcie mamy około 2 mld zł na budowę infrastruktury, około 2 mld zł rocznie na funkcjonowanie i obecność, plus kolejne setki milionów rocznie na utrzymanie infrastruktury. Jeśli to wszystko zsumować w horyzoncie 10 lat, wychodzi kwota rzędu 20–30 mld zł. A mówimy tylko o jednym elemencie systemu bezpieczeństwa, nie licząc zakupów sprzętu wojskowego, które same w sobie idą w dziesiątki miliardów dolarów. Zakupy te reguluje program Foreign Military Sales (FMS), w ramach którego Polska kupuje sprzęt od Stanów Zjednoczonych. Procedury te nie przewidują kar umownych za opóźnienia, co w praktyce zwalnia amerykańskich dostawców z odpowiedzialności finansowej. Tymczasem Europejcy i polscy dostawcy dla wojska płacą rocznie w ramach kar za opóźnienia dostaw czy realizacji średnio 100 mln zł kar.

A w Niemczech przez dekady obecności wojsk USA znaczna część infrastruktury była finansowana przez stronę amerykańską. W Japonii roczny wkład gospodarza w utrzymanie wojsk USA przekracza 2 mld dol., ale dotyczy to obecności kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy.

Polska wydaje setki milionów dolarów rocznie za obecność kilku–kilkunastu tysięcy wojskowych, co w przeliczeniu na jednego żołnierza daje poziom dziesiątek, a nawet setek tysięcy dolarów rocznie.

Można to łatwo policzyć. Bo jeśli przyjąć, że w Polsce stacjonuje około 10 tys. żołnierzy amerykańskich, a roczny koszt sięga 500 mln dol., to na jednego żołnierza przypada około 50 tys. dolarów rocznie tylko w kosztach „obsługi”. Gdy doliczyć amortyzację infrastruktury i inwestycje, kwota ta spokojnie rośnie do 100–150 tys. dol. rocznie na osobę. Czyli 360–550 tys. zł za jednego żołnierza każdego roku. „Obecność wojsk” nie jest więc żadnym abstrakcyjnym pojęciem, tylko bardzo konkretną pozycją w budżecie państwa.

Lojalność ponad wszystko

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że wydawanie całej tej kasy może być warte funta kłaków. Tak przynajmniej uczy zarówno teraźniejszość, pokazująca, jak wielkie bazy amerykańskie nieszczególnie skutecznie zapewniły bezpieczeństwo swoich arabskich sojuszników w Zatoce Perskiej, jak i wcale nie tak odległa historia.

Wietnam Południowy przez ponad dekadę służył, że USA są gwarantem istnienia kraju i jego władz oraz gospodarki wolnorynkowej. Stała obecność wszystkich amerykańskich sił zbrojnych i setki tysięcy walczących żołnierzy kazały milionom południowych Wietnamczyków ufać, że komu-



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

niści nie opanują kraju. Potwierdzały to zapewnienia kolejnych prezydentów USA. 30 kwietnia 1973 r. okazało się, że Stany się wycofuja. Dziesiątki tysięcy pozostawionych przez sojusznika obywateli Wietnamu Południowego trafiło albo pod mur, albo do „obozów resocjalizacyjnych”. Sceny z nieudolnej ewakuacji Amerykanów i ich popleczników z Sajgonu zapełniły dziesiątki filmów fabularnych.

Leżąc obok Wietnamu Kambodża od roku 1970 rzucił wspierany przez Amerykanów generał Lon Nol. Ameryka miała tam swoich żołnierzy, a ponieważ generał borykał się z miejscową komunistyczną partyzantką, to zarówno on, jak i Kambodżanie słyszeli od każdego oficjela amerykańskiego zapewnienie o dożgonnej przyjaźni i współpracy. Oraz to, że Kam-

bodży nie opuszczą nigdy. Z dnia na dzień Jankesi jednak wyszli. Czerwoni Khmerzy zajęli w 1975 r. Phnom Penh, po czym wymordowali jedną trzecią narodu, który miał pecha uwierzyć Waszyngtonowi.

Po 11 września 2001 r. NATO uznało atak na WTC za atak na sojusz, więc w Afganistanie wraz z innymi pojawili się amerykańscy wojskowi. Szybko pokonali talibów i pozwolili lokalnym niefundamentalistom być obywatelami w miarę świeckiego państwa muzułmańskiego. Przez dwie dekady pokolenie młodych Afgańczyków z większych miast zaczęło rozumieć, czym jest współczesna cywilizacja. Rząd afgański miał jakie takie zaplecze demokratyczne, a nade wszystko deklaracje amerykańskiej pomocy. Gdy prezydentem USA po raz pierwszy zo-

okien bez pukania. Gratulujemy panom strażakom wydolności.

■ Okazuje się, że polskie piwo to nie tylko napój, ale i zagadka matematyczna. Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych odkryła, że w niemal połowie przypadków to, co wlewacie w siebie, nie jest tym, co obiecuje etykieta. 44,8 proc. skontrolowanych podmiotów serwuje płynną fikcję. Browary mają problem z opisem rzeczywistości. Na etykietach procenty są inne niż w butelkach, nie mówiąc już o alergenach. Te są w butelkach, a nie ma ich na etykietach. W kraju, gdzie piwo stało się paliwem mas, fakt, że co drugi kufel to oszustwo, nikogo specjalnie nie dziwi.

■ Polska to kraj, który na soli wyrósł, a teraz na niej osiada – tyle że importowanej. Mamy pod stopami 112 mld ton tego surowca, a mimo to sprowadzamy słone kryształki z Afryki czy Niemiec. Okazuje się, że słońce nad Tunezją pracuje taniej niż polski górnik w Kłodawie, a odparowanie wody morskiej jest mniej kosztowne niż drażnienie dziur w ojczyściej ziemi. To kolejna odsłona narodowego dramatu: mamy skarby, których nie opłaca się wydobywać, bo polska praca stała się luksusem, na który nas nie stać. Wolimy więc importować taniej z Maroka, jednocześnie pompując miliony w utrzymanie kopalń, które produkują głównie koszty i roszczenia.

■ ZUS opublikował nekrolog polskiej pracowitości za rok 2025. Wynika z niego, że jesteśmy społeczeństwem wybitnie kruchym: wystawiono nam 27,5 mln zwolnień, co przełożyło się na ponad 290 mln dni błędnego nicnierobienia. Statystycznie co drugi ubezpieczony uznał, że praca szkodzi zdrowiu bardziej niż jej brak, i udał się na średnio 11-dniowe rekolekcje od obowiązków. Najbardziej Polaków łupie w krzyżu. Choroby układu mięśniowo-szkieletowego wyłączyły nas z życia na ponad 42 mln dni. Tuż za plecami plasuje się jednak dusza: zaburzenia psychiczne i wypalenie zawodowe (34 mln dni) to najszybciej rosnąca gałąź gospodarki. Polak po prostu nie może już patrzeć na to, co widzi, więc idzie do psychiatry po legalną przepustkę z rzeczywistości.

stał Trump, z ortodoksami się dogadał i obiecał, że US Army i reszta jej sojuszników grzecznie sobie z Afganistanu pójdzie. Sceny z lotniska w Kabulu, skąd chcieli uciec ci, którzy wierzyli w amerykańskie gwarancje, widzieli wszyscy. Co się stało ze zdrażonymi przez Waszyngton Afgańczykami, wiemy. Bo ci z nich, którym spodobała się zachodnia cywilizacja i sądzili, że mogą liczyć na humanitaryzm reszty świata, wylądowali na polsko-białoruskiej czy turecko-greckiej, nieprzekraczalnej dla nich, granicy sojuszników Stanów Zjednoczonych.

30 lat temu, po pierwszej wojnie w Zatoce, Kurdowie dogadali się z Waszyngtonem i rozpoczęli powstanie przeciwko Saddamowi. Już wtedy USA nie wywiązały się z obietnicy wsparcia, zostawiały powstańców na kilkuletnią pastwę dyktatora. Po 11 września amerykańskie zapewnienia wróciły, a Kurdowie kolejną raz uwierzyli. Udało im się – w Iraku wywalczyli sobie autonomię, której nikt nie był w stanie zagrozić do momentu powstania Państwa Islamskiego. Wtedy Kurdowie z Iraku i Syrii znów stali się potrzebni Stanom. Dostali nawet z Waszyngtonu gwarancję utworzenia na terenach Syrii i Iraku własnego państwa.

Kiedy jednak Państwo Islamskie rękami Kurdów obalono, na część kurdyjskich terenów w Syrii wjechały tureckie czołgi. Trump, niepomny obietnic składanych Kurdom, rzucił, że nie ma wobec nich żadnych zobowiązań, bo „nie pomogli nam w czasie II wojny światowej. Nie pomogli nam na przykład w Normandii”. Chwilę po tym spiczu reszta amerykańskich oddziałów mających bronić Kurdów została z dnia na dzień wycofana. Turcy spacyfikowali pogranicze, wystrzelali bojowników, a ich przedstawicielstwa polityczne uznali za organizacje terrorystyczne.

Może właśnie dlatego wcale nienajgłupsze wydają się miliardowe wydatki na polskie wojsko i to, że Europa zobaczyła, że przy takim sojuszniku ruskie czołgi rychło będą mogły poić swe chłodnice w Sekwanie.

TOMASZ BOROWIECKI



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

■ ABW nakryło na Mazowszu artystów, którzy postanowili wziąć sprawy europejskiej waluty w swoje ręce, nie czekając na łaskę Brukseli czy decyzje polskiego rządu o wejściu do strefy euro. Czterej dzentelmeni zgromadzili trzy tony papieru i ambicję wartą 360 mln euro. Państwo, jak zwykle zazdrośne o monopol na drukowanie kolorowych papierków, wpadło z wizytą i zepsuło zabawę. Falszerzom pieniędzy grozi 25 lat. Szkoda tylko, że z taką samą gorliwością służby nie ścigają tych, którzy legalnie obniżają wartość pieniądza w oficjalnych gmachach. Ci fałszerze zamiast celi dostają zazwyczaj wysokie odprawy i limuzyny z kierowcą.

■ W Sobótce suweren postanowił, że burmistrz Mirosław Jarosz nie będzie już dłużej bawił się w hotelarza za publiczne pieniądze. W referendum mieszkańcy odwołali włodarza. Głównym powodem wykopania Jarosza był zakup Hotelu Miś za 10 mln zł z zamiarem przerobienia go na urząd miejski. Nazwa inwestycji okazała się proroczą. Cała sprawa wygląda jak wycięta z filmu Barei. Burmistrz przekonywał, że urzędnicy w hotelowych pokojach to szczyt nowoczesności, ale ponad trzy tysiące głosujących uznało, że wola go widzieć na bruku niż w apartamencie. W efekcie Sobótko ma teraz kadłubowy samorząd, hotel bez przeznaczenia i perspektywę komisarza, który przyjedzie posprzątać po tym festiwalu niegospodarności.

■ Bydgoska Belma podpisała kontrakt na 3,4 mld zł na produkcję miliona min przeciwciwociotnych. Polska, w ramach projektu „Tarcza Wschód”, oficjalnie wyrzuca do ko-

Trwa narodowa ejakulacja po zbiórkowym sukcesie na zaraczone dzieciaczki. 17 kwietnia youtuber i influencer Piotr „Łatwogang” Garkowski uruchomił w serwisie YouTube stream zatytułowany „Słucham 9 dni dissu na raka, żeby pomóc dzieciom z Fundacji Cancer Fighters”. Dla niezorientowanych „diss” to taki styl w rapie, kiedy jedzie się po kimś lub po czymś jak po burej suce. Pomysł na akcję zrodził się po wysłuchaniu utworu „Ciagle tutaj jestem (diss na raka)”, nagranych przez rapera Bedoesa 2115 razem z 11-letnią Mają Mecan – podopieczną fundacji chorującą na białaczkę. Stream trwał dziewięć dni i szybko zassał w internecie. Do wydarzenia dołączyły tysiące widzów, celebryci, sportowcy (m.in. Iga Świątek, Robert Lewandowski), muzycy, aktorzy, influencerzy i firmy. Początkowy cel zbiórki – 500 tys. zł – osiągnięto z przysłowiowym palcem w dupie. Ostatecznie zebrano ponad 251 baniek i był to rekord świata w kategorii charytatywnych relacji na żywo w sieci.

Dla porządku obrad warto zaznaczyć, że jak by nie jebać krajowej ochrony zdrowia, akurat onkologia dziecięca wypada nieźle. Wyniki są porównywalne z najlepszymi ośrodkami w Europie Zachodniej i USA, z wyłączałością nowotworów przekraczającą 80 proc. W przypadku ostrej białaczki limfoblastycznej skuteczność leczenia jest nawet lepsza niż średnia europejska. Nie zmienia to faktu, że kasy wciąż brakuje na skuteczne, lecz nierefundowane w Polsce terapie; leczenie eksperymentalne czy protezy i rehabilitację (tu NFZ płaci niewiele). Są jeszcze gigantyczne koszty dla rodziny, kiedy jeden z rodziców musi zrezygnować z pracy. Nie wspominając o dojazdach, hotelach i reszcie okołoonkologicznego bajzlu. Ktoś mógłby powiedzieć, że gdyby ci wszyscy influencerzy i celebryci, którzy na wizji golili sobie łby w ramach solidarności z chorymi, płacili odpowiednie podatki od swoich gigantycznych dochodów, to zbiórki nie byłyby aż tak potrzebne. Racja, to samo dotyczy firm, które dorzuciły się do rakowego koszyczka. Oczywiście ostatecznie za ustawę odpowiadają politycy, ale tak to niestety wygląda w państwach ze słabymi instytucjami, że bogaci, znani i lubiani mają ogromny wpływ na politykę, by nie rzec – lobbują, żeby im włos z finansowej głowy nie spadł. Trudno krytykować samo oddawanie kasy na zbiórkę, bo przecież znane marki wcale nie musiały tego robić. Niemniej obywatelskie brandzlowanie się nad celebrycko-korporacyjnym wzmocnieniem skutecznie eliminuje jakąkolwiek refleksję nad przyczynami zapaści ochrony zdrowia w kraju nad Wisłą. Przy okazji Polactwo w charytatywnym amoku daje się ruhać podwójnie. Nie tylko jest beneficjen-

Onkowashing

Rakowy szlagier

tem dziurawego systemu uszytego przez wielkich, ale za zupełną darmość robi reklamę biznesom o nieco nadwątłonej reputacji.

Po sukcesie zbiórki media społecznościowe zaala fala hołdów dziękczynnych dla koncernów i korporacji, które synęły kasą. Do twardego rzygu, szczególnie na Instagramie, przewijają się materiały, w których młode Polaczka deklarują, że od dziś będą używać tylko jednego kremu czy innego gówna. Portale na wysigci publikowały, kto dał więcej. Lista jest długa i jeśli się w nią nieco wczytać, można znaleźć prawdziwe perełki.

Jedną z najwyższych wpłat rekordowego streamu (6,25 mln zł) zrobił wywodzący się z Polski międzynarodowy dom maklerski XTB. Akurat w połowie kwietnia Komisja Nadzoru Finansowego dała spółce srogiego klapsa. Regulator zarzucił brokerowi szereg nieprawidłowości w kontaktach z klientami oraz błędy w polityce zarządzania konfliktami interesów. Sprawa dotyczy działalności w latach 2021–2023. W dużym skrócie mówiąc, według KNF sposób prowadzenia działalności naruszał zasady rzetelności i zaważał ryzyko dla klientów. Praktyki te wyceniono na 20 mln zł. Kara ma na celu wymuszenie poprawy standardów ochrony inwestorów detalicznych na rynku kapitałowym. Warto dodać, że w 2023 r. NSA oddalił skargę XTB w sprawie innej kary (9,9 mln zł) za działania w latach 2014–2015.

5,5 mln zł wpłaciła na zbiórkę firma Zen.com z polskim rodowodem, siedzibą m.in. w Londynie i licencjami m.in. na Litwie. W radzie nadzorczej firmy zasiada eksprezydent Andrzej Duda. W grudniu 2025 r. firma otrzymała 1,8 mln euro kary od Banku Litwy m.in. za uchybienia w przeciwdziałaniu praniu pieniędzy. Aktualnie Prokuratura Regionalna w Warszawie prowadzi czynności sprawdzające wobec molocha po doniesieniach dziennikarza TVN24



Ilustracja: KRZYSZTOF OLENIK

Piotra Szostaka, jakoby firma działała jako bramka płatnicza dla nielegalnych w Polsce kasyn internetowych.

Na kwotę 1,3 mln zł szarpnęło się w geście dobroczynności wydawnictwo Niezwykłe specjalizujące się w romansach i książkach dla nastolatków. Wiewiórki donoszą, że ruch na stronie po wpłacie był tak duży, że padały serwery. Tymczasem w listopadzie 2025 r. Komisja Etyki Reklamy uwzględniła skargę rzeczniczki praw dziecka Moniki Horny-Cieślak na działania promocyjne wydawnictwa. Chodziło o promowanie przemocy i samobójstwa, wykorzystywanie szoku, lęku i zagrożenie dla rozwoju dzieci i młodzieży. Co odwaliło wydawnictwo? Opublikowało w swoich social mediach krótki film promocyjny. Pokazywał bardzo młodą dziewczynę o imieniu Nika z pętlą na szyi, przyczepioną liną do ruszającego z dużą prędkością auta. Lina się rozwijała i szarpała za pętlę. Towarzyszył temu napis „Kup bilet, żeby Nika nie musiała więcej ryzykować swoim życiem”. Filmik promował nową książkę. Horna-Cieślak zaznaczyła, że w kontekście kryzysu zdrowia psychiczne-

sza konwencję ottawską, której trzymała się przez 30 lat, by znów móc legalnie i masowo urywać nogi. Militarny absurd za gigantyczne pieniądze. Nasi stratedzy stawiają na barbarzyństwo rodem z poprzedniego stulecia, licząc, że wróg przyjdzie do nas piechotą przez las. Tymczasem nowoczesna wojna to rakiety i głowice, które mają głęboko w powazaniu bydgoskie miny. Zanim żołdat nadejdzie na narodowy produkt, polskie niebo zostanie przeorane raketami średniego zasięgu. Zatem wydajemy miliardy na archaiczne pułapki, stając się etycznym skansenem, który zamiast bronić nieba, minuje własne krzaki.

■ Ostrowiecka firma Grant po 25 latach kucia stali umiera. Bilans tej gospodarczej stypy to 28 mln zł długu i 92 pracowników wyrzuczonych na bruk bez pensji za ostatnie miesiące. Firma, która kiedyś budowała maszyny dla górnictwa i energetyki, ostatnio produkowała już tylko pisma do komorników. Największym wierzycielem jest państwo. ZUS i urząd skarbowy czekają na 12 mln zł. Zatem ćwierć wieku tradycji kończy się pod butem syndyka, a jedyną konstrukcją stalową, jaka pozostała w zakładzie, jest kłódka na bramie. Robotnikom na pocieszenie zostaje 1,6 mln zł niewypłaconych należności, które mogą sobie wpisać w pamiętnikach, bo w kasie pustak jak w głowach zarządu.

■ W Starej Konicy doszło do selektywnej zbiórki władzy. Gdy w Ameryce podobno przewietrzył głowę Trumpowi, lokalny specjalista od odpadów postanowił zutylizować panią wójt Beatę Jerzman. 42-letni pracownik śmietnika użył noża zamiast spluwcy, celując w szyję i nerki władcy. Pani wójt poleciała śmigłowcem do szpitala, a nożownik trafił za kraty. Obie „głowy państwa”, ta z Waszyngtonu i ta z Konicy, przeżyły, co tylko dowodzi, że politycy są równie trudni do usunięcia co azbest. Złego licha nie bierze, niezależnie od szerokości geograficznej.

RJ

PS Źródłem informacji jest prasa prowincjonalna, a więc przekaz z natury niepełny i obarczony ryzykiem zniekształceń. Traktujemy je jako relacje cudze, których prawdziwości nie możemy w pełni zweryfikować. Z tego względu nie stanowią one podstawy do formułowania wniosków ogólnych ani prawnych.

Nie wstydzmy się swoich korzeni

Kiedy w Polsce ktoś chce powiedzieć, że jest w porządku, to mówi, że jest prawicowy. Ale to niewiele znaczy, bo cała masa „prawicowców” wyraża szacunek mojej osobie i temu, co robię. A przecież to, co robię, jest kwintesencją lewicowości. Chodzi o nieodmienne stawanie po stronie słabszych i zbuntowanych. Kiedyś w areszcie opowiadałem współwięźniom, działaczom Solidarności, robotnikom swoją wizję sprawiedliwego ustroju. Byli zachwyceni, do czasu aż nie nazwałem tego socjalizmem. Żeby się tak nie nazywało, ubolewali.

Młodzi robotnicy chętnie wstępują do partii narodowych, bo mają wrażenie, że to ugrupowania radykalne. A oni są zbuntowani. Kiedy jednak mój znajomy narodowiec opowiedział z oburzeniem swojemu posłowi z Konfederacji, że jacyś oszuści na podstawie przedwojennych akcji spółek postanowili przejąć grunty, na których stoją bloki z lokatorami, ten odpowiedział mu, że przecież dobry biznes kupić tanio, sprzedać drogo. I wtedy narodowcowi szczeka opadła, bo zrozumiał, że nie każdy prawicowiec jest „prawy”. Nizioł Braun wyznał w końcu swe poglądy. Jest to zestaw ultra neoliberalny z żądaniem zniesienia płacy minimalnej i wszelkich zasiłków na czele. W miarę jak prawda o Braunie i jego poglądach będzie się upowszechniać, poparcie dla Korony Polskiej będzie malało.

W fabryce Jeremias wyrósł lider, który poprowadził strajk. Dostał wsparcie od Inicjatywy Pracowniczej i Razem. Obecnie głosi poglądy lewicowe, socjalne, choć większość załogi jest wciąż pod wpływem Konfederacji.

Bunt jest lewicowy

SŁOWO CZERWONE



Rys. TOMASZ ROGOWSKI

Bardzo trudno przekonywać ludzi pracy do lewicy, bo została jej przyklejona łatka formacji skupiającej swe wysiłki wyłącznie na prawach społeczności LGBT. Razem, które odstaje od tego wizerunku, ani w nazwie, ani w barwach nie nawiązuje do lewicy. Niewiele więc wnosi do pokazania lewicy jako podmiotu stojącego po stronie pracy w jej walce z kapitałem.

Unikanie afirmacji lewicowej, robotniczej tradycji spod znaku PPS jest błędem. Bo trudno coś wywalczyć bez korzeni. Nowa Lewica z Czarzastym na czele nigdy nie zrzucał siebie łatki postkomuny, spadkobiercy partii, która strzelała do robotników. A jej współrządzenie z liberałami, którzy więcej wydają na zbrojenia niż na leczenie, dopełnia fatalnego wizerunku.

Lewica, która unika czerwonego koloru, naszego sztandaru, który pły-

nie ponad trony, rozpuszcza się we frazie „środowiska liberalne i lewicowe” i nie jest w stanie przyciągnąć ludzi pracy.

Padamy ofiarą wahadła. Skoro reżim niedemokratyczny nazywał się lewicowy, to wolności ludzie szukają po prawej stronie. Podobnie jest w Portugalii, gdzie nawet partia monarchistyczna nazywa się Ludową Partią Monarchistyczną, aby uniknąć oskarżenia o faszyzm. W Portugalii reżim był prawicowy, więc w wyborach prezydenckich lewicowy kandydat socjalistyczny zmagął się w drugiej turze z prawicowym socjaldemokratycznym.

Były próby mrugania oczkiem i przyznawania się do pozytywnych aspektów Polski Ludowej. Ale rządy neoliberalne tzw. lewicy Leszka Millera zniweczyły te próby. Zna-

kiem firmowym tych rządów były prywatyzacja i eksmisja na bruk. A blokady eksmisji urządzali tylko socjaliści i anarchiści.

Prawica miała w nosie wyrzuczanych lokatorów, stała twardo po stronie właścicieli, po stronie wyrzucających. Ale dopiero gdy ta skrajna prawica sięgnie po władzę, zwykli ludzie pracy zrozumieją, że prawica to obciach.

Decydującym kryterium jest bunt. Antysystemowość. A do sejmu wejda jak zwykle tłuste koty. Oni będą pilnować starego porządku, systemu, który im gwarantuje, że nie zapłacą podatku od dowolnej liczby mieszkań. Mimo krzykliwej buntowniczej retoryki przypilnują przede wszystkim własności i zysków. Nie zrobią nic dla dobra ogólnego, bo to uszczupliłoby zyski ich i tych, którzy fundneli im kampanię.

Popierając strajki, walcząc o niewypłacone wynagrodzenia, o to, by zagraniczne koncerny respektowały polskie prawo pracy i wyroki polskich sądów, odróżnimy się od prawicy radykalizmem połączonym z patriotyzmem, możemy przebić prawicę tym, że naprawdę stoimy po stronie świata pracy. Ale żeby się udało, musi wreszcie powiać wiatr. Gdy ludzie upomną się o swoje, musimy tam być z naszymi czerwonymi sztandarami.

PIOTR IKONOWICZ

Upadnij i nie wstawaj

Polska nie jest krajem przyjaznym swojemu obywatelowi

Upadłość konsumencka w Polsce przeszła długą drogę od fikcyjnego przywileju dla wybranych do realnego narzędzia umożliwiającego oddłużenie. Z tym że nawet teraz – w porównaniu z systemami zachodnimi – bardziej przypomina gehennę niż świeży start.

Indywidualne bankructwo, czyli wspomniana upadłość, to proces sądowy mający pomóc tym, którzy „trwale utracili zdolność do regulowania swoich zobowiązań”. Tyle że do 2020 r. nikt w Polsce nie traktował tego poważnie. W 2009 r., gdy pojawiły się pierwsze przepisy, liczba upadłości nie przekroczyła 30 rocznie. A wszystko dlatego, że wówczas obowiązywała zasada, że kto choć odrobinę zawinił, może zapomnieć o jakiegokolwiek łasce.

Rynek uwalniający

W pierwszych latach prawo wymagało, by niewypłacalność powstała z przyczyn całkowicie niezależnych od dłużnika, czyli najlepiej, żeby zbankrutował święty. Człowiek musiał być nie tylko zadłużony, ale i bez skazy. Upadłości były więc spotykane równie często jak czterolistna koniczyna.

Według powszechnej opinii, w zachodnich demokracjach ludzie potrafią zbankrutować bez utraty godności. W praktyce wszystko zależy od kraju, stanu, a nawet humoru urzędnika. Jedni mają systemy, które pozwalają zadłużonym wrócić do życia, inni – takie, które tylko łaskawie pozwalają nie umrzeć z głodu.

W Stanach Zjednoczonych system upadłości osobistej uchodzi za najbardziej liberalny, a przez to najczęściej wykorzystywany – ponad pół miliona obywateli rocznie. Dlaczego? Bo USA to kraj, w którym łatwo popaść w długi, ale też stosunkowo łatwo się z nich wydobyć.

Narzędzia do wyzwolenia noszą nazwę Chapter 7 i Chapter 13. Pierwszy to klasyczna likwidacja majątku – komornik pakuje do worka, co się da sprzedać, a reszta długów znika jak koszmar senny. Drugi to układ – dłużnik doga-

duje się z wierzycielami, że przez parę lat będzie spłacał, co może, a reszta też zniknie. Brzmi pięknie, ale jest haczyk. Amerykański system pozwala zachować część majątku – np. ubrania, meble, lodówkę czy nawet stary samochód – pod warunkiem, że nie jest wart więcej niż kilka tysięcy dolarów. W Teksasie można zachować dom bez względu na jego wartość, jeżeli nie przekracza określonego rozmiaru działki. W Kalifornii przepisy pozwalają zachować część gotówki albo droższy komputer.

Cywilizowany reset

W Wielkiej Brytanii bankrutem zostaje się na 12 miesięcy. Przez ten czas syndyk może sprzedawać, co się da, choć znowu: nie wszystko. Ubrania, sprzęt kuchenny, narzędzia do pracy – zostają. Ale jeśli masz dwa rowery, to jeden idzie pod młotek. Telewizor? Może zostać, ale tylko jeden.

Dom? Jeśli nie masz zaległości w spłacie kredytu i jego wartość nie przekracza granicy rozsądku, czasem można go ocalić. Ale to zależy od lokalnej interpretacji. Samochód? Tak, ale tylko jeśli jest niezbędny do dojazdu do pracy. Po roku większość długów przepada. Ale nie te z tytułu oszustwa, kary sądowej czy alimentów. Ba, dla osób z niskimi dochodami i minimalnym majątkiem jest możliwe całkowite oddłużenie bez likwidacji cegółkołwiek.

Niemcy nie znają litości. Tam zanim dług zostanie opisany, trzeba przez co najmniej trzy lata oddawać syndykowi każdą złotówkę ponad minimum egzystencji. Przez ten czas trzeba pracować, meldować zmiany, nie kłamać, nie oszukiwać. W zamian po 3–6 latach człowiek dostaje rozgrzeszenie finansowe. Choć znowu: nie za wszystko. Alimenty, kary, długi z oszustw – zostają.

Cały majątek – z wyjątkiem niezbędnego do życia – łąduje w masie upadłościowej. Mieszkanie, jeśli nie spełnia kryteriów minimum, też. Samochód? Może zostać, jeśli służy do pracy.

Co można zachować? Łóżko, stół, krzesła, ubrania. Komputer, jeśli służy

do nauki lub pracy. Narzędzia, jeśli są niezbędne do wykonywania zawodu. Pies albo kot – tak, ale luksusowa hodowla kotów bengalskich – nie. Żeby tego nie doświadczyć, Niemiec musi zawnocować zminimalizować majątek podlegający egzekucji. W Niemczech istotną rolę odgrywa tzw. masa niezbywalna, którą wyznacza sąd.

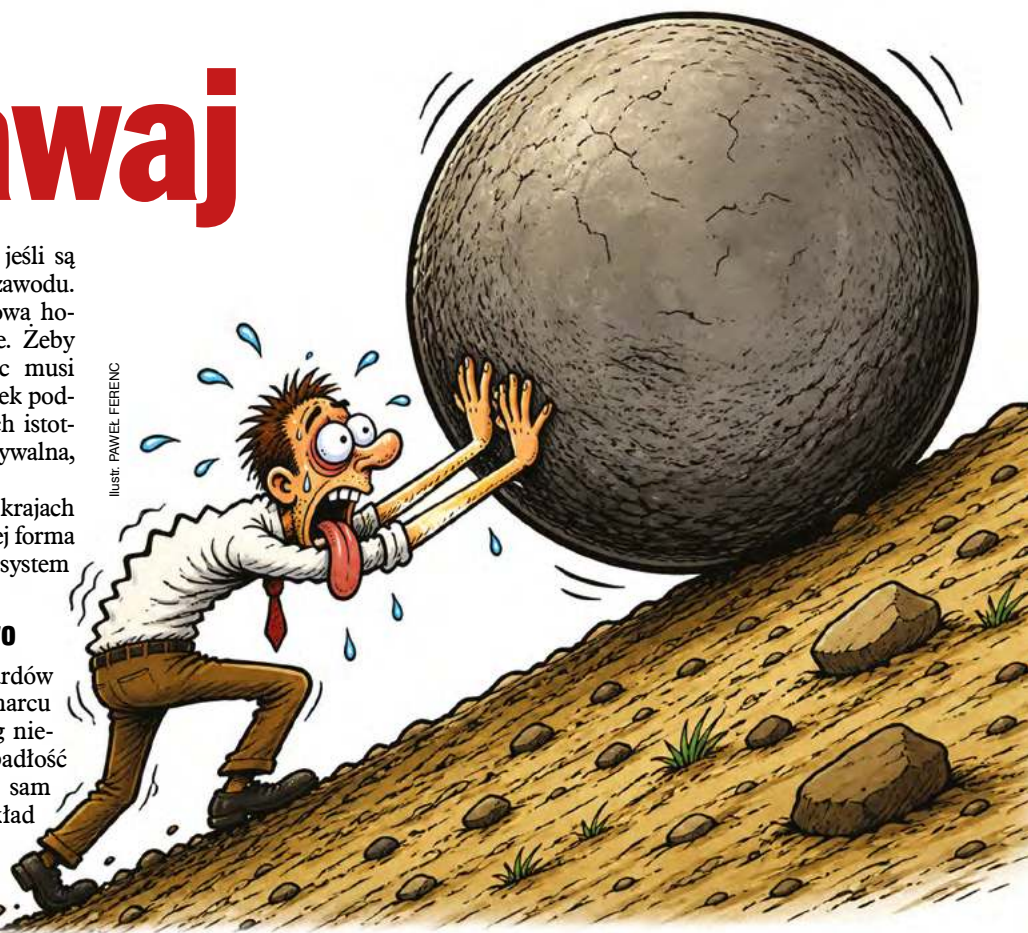
We wszystkich opisanych krajach bankructwo to nie luksus, a raczej forma cywilizowanego resetu, bo każdy system pozwala coś zachować.

Nie stać cię na bankructwo

Do cywilizowanych standardów doszliśmy dopiero w marcu 2020 r. Zniesiony został wymóg niewinności. Od tego momentu upadłość mógł ogłosić również ten, kto sam się wpędził w długi – na przykład biorąc pożyczki bez pokrycia albo przejadając środki z karty kredytowej. Nawet rażące niedbalstwo nie było już przeszkodą. Efekt? W 2020 r. sądy ogłosiły ponad 13 tys. upadłości konsumenckich, w 2021 – 18 tys., a w 2024 – już ponad 21 tys. System przestał być elitarny. I to mimo że i tak ktoś pod kreską ma bardziej przerabiane niż obywatele bardziej cywilizowanych krajów. Bo u nas w momencie ogłoszenia upadłości dłużnik traci zarząd nad swoim majątkiem. Wszystkim, co posiada, zarządza syndyk. Ale nie wszystko trafia pod młotek.

Polskie prawo, choć surowsze od angielskiego, przewiduje wyłączenia. Dłużnikowi nie można zabrać odzieży, bielizny, obuwi, sprzętu domowego podstawowej potrzeby (lodówki, pralki, łózka, stołu, krzesła) narzędzi pracy (np. maszyny do szycia dla krawcowej), niektórych świadczeń (800 plus, alimentów, renty i zasiłków celowych), no i części dochodu, która objęta jest kwotą wolną od zajęcia. Ale już samochód, mieszkanie, oszczędności czy elektronika wchodzi do masy upadłościowej. Mieszkanie można zachować, tylko jeśli syndyk uzna, że jego sprzedaż byłaby nieopłacalna albo pozbawiłaby dłużnika minimum egzystencji. To jednak niespotykana niemal rzadkość.

Konkrety? Małżeństwo z Wrocławia ogłosiło upadłość. On – spawacz, ona



Ilustracja: PAWEŁ FERENC

– fryzjerka. Mieli mieszkanie własnościowe, które syndyk sprzedał, mimo że spłacili już 80 proc. kredytu. Samochód, roczny Ford Focus, też poszedł na licytację. Zostali z walizką ubrań i czajnikiem.

Inna sprawa: samotna matka z Gdyni. Zostało jej mieszkanie, bo było komunalne. Pralka, lodówka, łóżko dzieci – również. Ale laptop do pracy zdalnej przepadł, bo uznano go za zbyt cenny. Syndyk sprzedał go za 2,5 tys. zł.

Właściwe przygotowanie

Sądy mają jednak więcej swobody niż parę lat temu. Jeśli uznają, że dłużnik działał rozważnie, plan spłaty, czyli oddawania prawie wszystkiego, co się zarobi, może być bardzo krótki – 12, 24 albo 36 miesięcy. Jeśli jednak okaże się, że ktoś sam się wpakował w kłopoty, sąd może wydłużyć plan do siedmiu lat. Możliwe są też dwa scenariusze skrajne: dłużnik nie ma żadnego majątku i żadnych perspektyw – sąd może od razu umorzyć długi, bez ustalania planu spłaty – lub dłużnik ewidentnie kombinował albo działał w złej wierze – sąd może w ogóle odmówić umorzenia zobowiązań. Da się również uniknąć spłaty, a najlepszą drogą jest udowodnienie, że nie ma się z czego płacić.

Brak majątku, brak dochodów, brak perspektyw – to poważne argumenty. Sąd, widząc człowieka bez grosza, może stwierdzić, że dalsze gnębienie go planem spłaty nie ma sensu.

Można także skorzystać z pomocy fundacji specjalizujących się w oddłużaniu. Pomagają napisać wniosek, zebrać dokumenty, a czasem także podpowiedzą, jak się „właściwie” przygotować do bankructwa. Ale uwaga: jeśli ktoś głupio pozbywał się majątku przed ogłoszeniem upadłości, przekazywał go rodzinie, wycofywał gotówkę, to sąd może uznać to za próbę wyłudzenia i cały proces szlag trafi.

I dlatego na tle USA, Wielkiej Brytanii czy Niemiec Polska wciąż wypada błado. Jednak nawet taki system to dziś dla wielu jedyna nadzieja. Bo lepiej przeżyć reset i zbankrutować raz, mając przerabiane przez parę lat, niż przez dekady żyć bez prawa do konta, pracy i normalnego życia.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie w dobrobycie

„Wystarczy pracować, odkładać składki i będzie emerytura” – przez lata powtarzano nam to jak prawdę objawioną, jakby system był uczciwą umową między państwem a obywatelem. Tymczasem liczby pokazują, że to raczej umowa jednostronna, w której państwo pamięta o składkach, ale zapomina o tym, żeby z tych składek dało się później żyć. Bo dziś zamiast emerytur mamy świadczenie. Na koniec 2025 r. 459 317 osób dostawało z ZUS pieniądze niższe niż emerytura minimalna, która wynosi 1978,49 zł brutto, czyli ok. 1800 zł na rękę. Jeszcze rok wcześniej takich emerytur było 433 tys., co oznacza wzrost o ponad 26 tys. w ciągu zaledwie 12 miesięcy. Ba, w ciągu 15 lat liczba emerytur niższych niż minimalna wzrosła ponad 19-krotnie, a ich udział w całym systemie podskoczył z 4,2 proc. w 2011 r. do 10,1 proc. w 2025 r. Czyli co dziesiąta nowa emerytura w Polsce to dziś świadczenie poniżej minimum. Ale prawdziwy majstersztyk system zaczyna się dopiero przy konkretnych kwotach. Bo o ile 1800 zł na rękę można jeszcze uznać za coś, co pozwala przetrwać, to ZUS wypłaca dziś emerytury, które mają wartość... dwóch groszy. To dlatego, że aby mieć gwarancję minimalnej emerytury, kobieta musi przepracować 20 lat, a mężczyzna 25. Jeśli tego nie robi, państwo umywa ręce i wypłaca tyle, ile wynika ze składek. A skoro składek nie było albo były symboliczne, to emerytura też jest symboliczna, gdyż aż 44,9 proc. osób pobierających te głodowe świadczenia nie odprowadziło ani jednej składki po 1998 r. Nie dlatego, że nie chciało, tylko dlatego, że pracowało w takich warunkach, w jakich pracować pozwalała rzeczywistość – na czarno, na umowach śmieciowych albo w ogóle poza systemem. Resort tłumaczy to elegancko, mówiąc o „uwarunkowaniach gospodarczych” i „specyfice rynku pracy okresu transformacji”, czyli w praktyce o tym, że ludzie pracowali, jak mogli, a nie jak chcieli. Bo kiedy wybór jest między pracą bez składek a brakiem pracy, to większość wybiera pracę.

Problem w tym, że po 30 latach okazuje się, że był to wybór między biedą wtedy a biedą dziś.

Niestety, wygląda na to, że historia ta może się powtórzyć, bo rynek pracy w Polsce zaczyna przypominać sytuację, w której wszyscy stoją w miejscu i patrzą na siebie nawzajem, zastanawiając się, kto pierwszy się ruszy – tyle że coraz częściej tym ruchem jest krok w tył. Wszak nadal najwięcej firm deklaruje, że nic nie robi i utrzyma zatrudnienie na dotychczasowym poziomie, ale takich przedsiębiorstw jest już tylko 72,2 proc. Najbardziej wymowna jest jednak liczba firm, które chcą zatrudniać, bo tych jest już zaledwie 13,7 proc., podczas gdy rok wcześniej było ich 16,7 proc., co oznacza spadek niemal o jedną piątą, a to w realiach rynku pracy jest różnica kolosalna, bo przekłada się na tysiące ludzi więcej krążących między ogłoszeniami, które coraz częściej okazują się martwe lub już dawno nieaktualne. Jeszcze gorzej wyglądają dane o firmach planujących zwolnienia, bo odsetek takich przedsiębiorstw skoczył z 4,9 proc. do 9,8 proc., czyli dokładnie się podwoił, a co więcej, jest to najwyższy poziom od 2017 r. Ekonomiści wygadują o „większej ostrożności” i „optymalizacji kosztów”, co oznacza, że pracownik przestaje być zasobem do rozbudowy, a zaczyna być kosztem do ograniczenia. Dochodzi do tego jeszcze zjawisko zamrażania rekrutacji, które w statystykach wygląda niewinnie, bo nie widać go w liczbie zwolnień, ale w praktyce oznacza, że nowych miejsc pracy po prostu nie przybywa, a jeśli nie przybywa, to każdy, kto traci zatrudnienie albo dopiero wchodzi na rynek, trafia na coraz ciśniejsze pole gry. Powstaje sytuacja, w której oficjalnie bezrobocie może jeszcze nie eksplodować, ale realne szanse na znalezienie pracy zacinają się kurczyć. Zamiast rynku pracownika mamy rynek ostrożnego pracodawcy.

W kraju, którego rząd prowadzi propagandę sukcesu ekonomicznego, nic nie powinno już śmieszyć, a jednak... 169 mln zł – tyle wynosi kapitalizacja spółki, która właśnie ogłasza, że zamierza rozwijać działalność wydobywczą na drugim końcu świata, stając się globalnym graczem surowcowym, choć na razie operuje kwotami, które w tej branży są raczej kieszonkowym niż poważnym kapitałem. Spółka Bumech ogłosiła bowiem przejęcie kopalni węgla w RPA, co brzmi jak ruch godny wielkich koncernów surowcowych, tylko że gdy zajrzeć w liczby, okazuje się, że mówimy o transakcji, która w realiach globalnego

górnictwa wygląda raczej jak zakup używanej maszyny. Kupowana kopalnia ma bowiem zdolność wydobywczą sięgającą około 2 mln ton węgla rocznie, co w świecie, w którym pojedyncze projekty liczone są w dziesiątkach milionów ton, nie jest wynikiem imponującym, ale za to jej największą „zaletą” jest fakt, że potrzebuje ogromnych inwestycji, które według szacunków mają sięgnąć kilkudziesięciu milionów dolarów, czyli kwoty, która dla globalnych gigantów jest jedną z pozycji w budżecie, a dla spółki o kapitalizacji 169 mln zł oznacza finansową wspinaczkę bez zabezpieczenia. W komunikatach spółki pojawiają się słowa o rozwoju, ekspansji i budowaniu pozycji, które w zestawieniu z liczbami wyglądają śmiesznie. Najbardziej uderzające jest jednak to, jak łatwo można stworzyć wrażenie wielkości, operując odpowiednim językiem i wybierając odpowiednie fragmenty rzeczywistości, bo wystarczy odpowiedzieć „kopalnia w RPA”, aby wywołać skojarzenia z globalnym biznesem, podczas gdy za tym hasłem kryje się projekt wymagający ogromnych nakładów, niepewny co do przyszłości i daleki od stabilności, którą sugerują komunikaty. I tak oto powstaje historia, w której niewielka spółka za niewielkie pieniądze kupuje aktywo wymagające ogromnych inwestycji i przedstawia to jako krok w stronę światowej potęgi. Widać Bumech zaraził się tym od rządu.

„Inwestowanie dla każdego” – to hasło od lat robi karierę, szczególnie w reklamach firm, które z gry na giełdzie uczyniły produkt dostępny na kliknięcie w telefonie. Rzeczywistość jest jednak znacznie bardziej skomplikowana,



Fryz: MIROSLAW HAINOS

o czym przekonała się jedna z najbardziej rozpoznawalnych spółek tego rynku, czyli XTB, która po kontroli Komisji Nadzoru Finansowego została ukarana kwotą ponad 9,9 mln zł, która dla spółki działającej na rynku finansowym stanowi raczej koszt prowadzenia działalności niż realne zagrożenie. Tym bardziej że w tym samym czasie firma notuje przychody i zyski liczone w setkach milionów złotych. Nadzór przychodzi i służy do sposobu informowania klientów o ryzyku i zasadach działania usług. Bo jeśli ktoś jest zachęcany do inwestowania, a jednocześnie nie dostaje pełnej informacji o tym, jak łatwo może stracić pieniądze, to trudno mówić o świadomej decyzji. W tej historii najbardziej uderzające jest to, czego w niej nie ma. Nie ma bowiem żadnej informacji o tym, żeby ktokolwiek odzyskał pieniądze, które stracił na inwestycyjnej ruletce. Kara w wysokości 9,9 mln zł nie zmienia więc faktu, że ktoś stracił oszczędności życia. Dla tych, którzy popłynęli finansowo, nie ma to żadnego znaczenia. Tak jak i to, że zostali wykołowani nie na jakichś kryptowalutach, ale w działce, której dotyczyły te ustawy i regulacji, że wszystko powinno być tam bardziej niż uczciwe.

Do lotniska w Modlinie wreszcie ma powstać linia kolejowa. Wreszcie, czyli po kilkunastu latach funkcjonowania portu, który obsługuje miliony pasażerów rocznie, ale do którego najłatwiej dojechać samochodem. W słowie „wreszcie” zawiera się cała historia polskiej infrastruktury, w której budowanie kilku kilometrów torów urasta do rangi problemu narodowego wymagającego lat analiz, sporów i decyzji. Bo liczby są tu równie wymowne, co kompromitujące. Lotnisko w Modlinie działa od 2012 r. i w tym czasie przewinęły się przez nie dziesiątki milionów pasażerów. Ale teraz ma być dobrze. Plan zakłada budowę około 6 km nowej linii kolejowej, która połączy istniejącą trasę z samym terminalem. Koszt inwestycji szacowany jest na kilkaset milionów złotych. Tyle że rzecz dzieje się w momencie, gdy państwo planuje budowę Portu Polska, który ma kosztować dziesiątki miliardów złotych i przejąć ruch z lotnisk w okolicach Warszawy. A skoro tak, to inwestowanie dziś setek milionów złotych w linię kolejową do portu, który w przyszłości ma zostać zdegradowany, wygląda co najmniej osobiście. Tym bardziej że na tych 6 km torów pierwsze pociągi pojawiają się dopiero za trzy lata. Naprawdę w XXI w. 6 tys. m torowiska będzie budowane przez 36 miesięcy w kraju zapraszanym do G20!

TTJ

Polskie sukcesy w podstawianiu nogi do kucia

W sierpniu 2025 r. z ust prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa padły słowa o tym, że pogawędził sobie z Alaksandrem Łukaszenką z Białorusi. Trump nazwał go „bardzo szanowanym prezydentem” i „silnym, szanowanym przywódcą”. Niby od dawna wiadomo, że słowa, które wypuszcza z siebie przywódca Wolnego Świata, są gównie warte, ale jednak lokajskiej pozycji Polski wobec USA nikt nie odwoływał. No i głupio wyszło, szczególnie dla polskich mediów, które od lat bez specjalnego skrzepowania wycierały sobie różne części ciała nazwiskiem Łukaszenki. „Despota, reżimowiec, ostatni dyktator Europy, zamordysta”, to tak, w oficjalnym medialnym nurcie. Sieci społecznościowe nie krępowały się już niczym: „Hitler” „morderca”, „siepacz” i różne takie. A tu nagle takie coś z amerykańskiej strony...

Złote spinki z Białym Domem

A jeszcze niedawno było wszystko jasne. Białoruś, jako bliski sąsiad i członek państwa związkowego z Rosją (wdzięcznie nazywanego w polskich mediach głównego nurtu abrewiaturą ZBiR, choć oficjalna nazwa skracana winna być jako ZPRiB) była traktowana niemal z takim samym obrzydzeniem jak Rosja. Unia Europejska w stosunku do Białorusi zajęła się przede wszystkim tym, co jej najlepiej wychodzi, czyli nakładaniem kolejnych pakietów sankcji. Sankcjami objętych jest 310 obywateli Białorusi, poczynając od Alaksandra Łukaszenki, podobnie jak 46 podmiotów, w tym „media propagandowe, przedsiębiorstwo radiowo-telewizyjne Biełteleradio, firmy czerpiące korzyści z białoruskiego reżimu i oferujące mu wsparcie, w tym w sektorze wojskowym, technologicznym i rolnym, firmy ułatwiające obchodzenie sankcji, hotele, przedsiębiorstwa transportowe, organizatorzy wycieczek wspierający nielegalne przekraczanie granicy z terenu Białorusi do UE, Sąd Najwyższy, państwowy Komitet Kontroli, Centralna Komisja Wyborcza, Dyrekcja ds. Zarządzania Mieniem Prezydenta” – jak głosi dokument UE. Poza dzielnią Unią Europejską swoje sankcje nałożyły też USA. Najpierw w 2021 r., by zademonstrować niezadowolenie z nieładnego, ich zdaniem, wyboru na prezydenta Białorusi Alaksandra Łukaszenki. Potem nastąpił czerwiec 2025 r., kiedy do Mińska wpadł z wizytą specjalny wysłannik prezydenta Trumpa Keith Kellogg. Szło o wybadanie nastrojów, czy da się jakoś wykorzystać białoruskie kanały do zakończenia wojny na Ukrainie. Łukaszenka ze wzruszenia wypuścił 14 więźniów politycznych. Okazało się, że można.

Potem pojawiły się sygnały o wznowieniu pełnoprawnych relacji dyplomatycznych i ponownym otworzeniu ambasad w obu krajach. To zapowiedział kolejny wysłannik Trumpa John Cole, we wrześniu. Tym razem świat w krótkie przestało oglądać 52 więźniów politycznych, w tym 14 obywateli krajów zachodnich. W zamian prezydent Białorusi dostał złote spinki do mankietów z wizerunkiem Białego Domu.

Łukaszenka zaczął więc przebąkiwać coś o wznowieniu pełnoprawnych wzajemnych relacji, przy założeniu, że „Białoruś może pójść na określone kompromisy i jako pierwsza poczynić pewne kroki, oczekując od Amerykanów, że będą dotrzymywali obietnic” – jak oznajmił.

Wielki interes

W październiku białoruski prezydent oznajmił, że Białoruś jest gotowa na „wielki interes” ze Stanami Zjednoczonymi. W grudniu przyjechała na Białoruś amerykańska delegacja i Cole obiecał, że USA zdejmą sankcje z Biełaruskajij, czołowego producenta nawozów potasowych. Wyszło na wolność 123 więźniów na osobistą prośbę Trumpa.

Panowie pogadali o różnych sprawach, a Łukaszenka dawał sygnały, że jest gotów gadać w sprawach wojny na Ukrainie i o Bliskim Wschodzie, „co może być dla was interesujące, bo tam walczycie przeciwko naszym przyjaciółom”, ale też dodał przedświadek, że rozmowy nie będą dotyczyły Chin i Rosji.

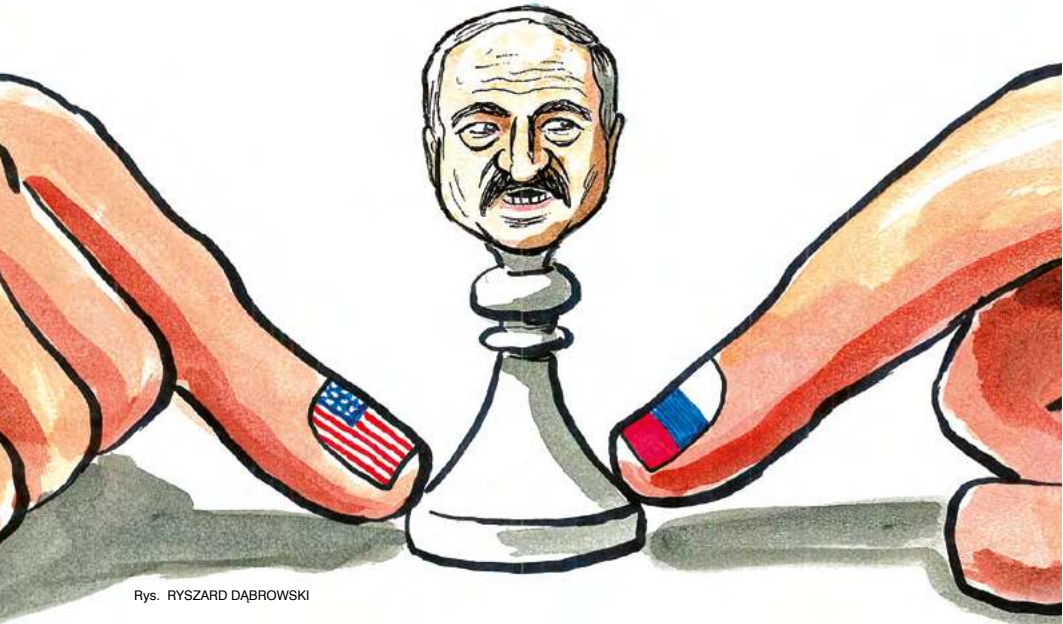
W marcu 2026 r. kolejna wizyta: 250 więźniów na wolności, w zamian zdjęte sankcje z białoruskiego Banku Inwestycyjnego, Banku Rozwoju, białoruskiego Ministerstwa Finansów i Biełaruskajij.

Europa chrząknęła z zakłopotaniem. Jakże to? Jeszcze niedawno polityczny gangster i dyktator, a teraz „szanowny prezydent Białorusi”? Tak się nie umawialiśmy. No rzeczywiście, wiele wskazuje na to, że Trump nie umawiał się w tej kwestii z Europą. I w ogóle jakoś stracił chęć umawiania się z Europą na cokolwiek. Może słabuje na głowę, a może uznał, że nie ma co się dogadywać z kimś, kto jest bratem w szaleństwie, ale właśnie dlatego niewartym wzmożonej uwagi.

Białoruś i jej media nie zaskoczyły. Wywałyły peany na cześć białoruskiego przywódcy, podkreślając wszystkie miłe słowa, które Amerykanie wypowiedzieli pod adresem Łukaszenki. Odbływały się ożywione dyskusje, czy USA słuchają Białorusi z uwagą, czy tylko z szacunkiem. Trochę przesadzam, ale naprawdę niedużo.

A teraz wyszło jeszcze gorzej: Białoruś wypuściła na wolność Andrzeja Poczubota, co to od dawna był sztagdarem, którym Polska wymachiwała, gdy trzeba było przywołać jakiś przykład o zamordystycznej polityce Łukaszenki wobec opozycjonistów.

Z kim zatańczy Łukaszenka?



Co to się działo, co się działo... Na granicę polsko-białoruską pojechali Tusk, Sikorski i bodaj Kosiniak-Kamysz. Dawali na wyścigi głos, jak to Polska, a dokładniej oni osobiście, dołożyli starań, by Poczubot był wolny. I że to w zasadzie wyłącznie dzięki ciężkiej ich robocie Poczubot wrócił. Potem z pałacu prezydenckiego dobiegło, że to nieprawda, ponieważ to przecież Pan Prezydent Nawrocki własną ciepłą dłonią wskazał Trumpowi, że trzeba nacisnąć na Łukaszenkę, by uwolnić tego gościa. Potem coś bąkał Coale, że wymiana grupy osób na polsko-białoruskiej granicy to uzgodnienia między Mińskiem a Waszyngtonem. W każdym razie polskie władze otrzymały od miejscowych żab Honorowy Medal Podstawiacza Nogi do Podkucia.

A jeszcze potem prezydent Nawrocki uhonorował Poczubota Orderem Orła Białego, co stało się kolejną odsłoną polsko-polskiego meczu na wzajemne obrzucanie się gównem. Nie wiem, kto wygrał.

Nasza wzniosła ignorancja

Pytanie, które należy sobie zadać, brzmi: czy Białoruś przejawiała własną inicjatywę i próbuje grać na kilku instrumentach, stając się tym samym, na miarę swoich możliwości, samodzielnym graczem na międzynarodowym polu – czy też jest tylko przekaznikiem i pomagierem rosyjskiej polityki międzynarodowej w zmieniającym się świecie? Odpowiedź na to pytanie jest ważna. Oczywiście pod warunkiem, że chce się zrozumieć, co się dzieje. Bo na przykład Polska, w pętach swojej, pożał się Boże, polityki wschodniej – nie chce. Mało tego, nawet nie chce nic związanego z Białorusią wiedzieć. Bo nie.

Polska od lat pozycjonuje się jako nieprzejednany wróg panującego na Białorusi ustroju i władz. I jako główny macher wszelkich działań mających na celu tego ustroju obalenie, niespecjalnie nawet to ukrywając. Rozkosznie szczerze wyraził to swego czasu Sławomir Sierakowski – niegdyś dziennikarz, a teraz główny agitator na rzecz eskalacji działań militarnych.

Otóż w 2020 r., gdy Białoruś stała się obiektem kolejnej kolorowej kontrrewolucji, jednym z czołowych organów antyłukszenkowskich był portal Nexta. Oczywiście w polskim przekazie: obiektywne, obywatelskie i absolutnie z nikim niezwiązane medium, które po prostu relacjonowało żywiołowy wybuch społecznego niezadowolenia Białorusinów. Założony przez dwóch białoruskich dziennikarzy, którzy kapali się w sławie dzielnych obiektywnych obserwatorów na obczyźnie, bo w Polsce. Gdy jakiś czas później białoruskie władze zatrzymały i aresztowały jednego z nich, Romana Protasiewicza, Sierakowski napisał: „Nexta nie tylko relacjonował i demaskował działania władzy, ale podczas protestów, które zachwiała reżimem Łukaszenki, codziennie wysyłał do wszystkich obywateli dokładne informacje na temat godziny i miejsca, a także metod protestu. Informacje miały bardzo zaangażowaną formę i miały zmotywować jak największą liczbę Białorusinów do działania”... Tym samym Sierakowski dał białoruskiej prokuraturze do ręki mocny argument, by w akcie oskarżenia sformułować zarzut o organizowaniu protestów przy pomocy zewnętrznej. Taki mały społeczny donosik – ze świadomością, że oznacza to krok bliżej do kary śmierci, która, jak się wówczas wydawało, Protasie-

wiczowi groziła. Potem okazało się, że Protasiewicz dogadał się (albo był wcześniej dogadany) z władzami w Mińsku, ale wtedy tego nie wiedzieliśmy.

Co to będzie, co to będzie...

Łukaszenkowski reżim wielokrotnie, przedtem i potem, czynił wobec Polski gesty, by choć trochę obniżyć napięcie między naszymi państwami – ale Polska za każdym razem gesty te olewała z pluskiem. I tak jest do dzisiaj.

Natomiast państwa poważne do tej nowej sytuacji podchodzą z uwagą. Zdają sobie bowiem sprawę, że droga do Pekinu – a także, gdy sytuacja się zmieni, do Moskwy – wiedzie przez Mińsk. I dobrze mieć wspomniany Mińsk za sobą albo obok, gdy wchodzi się na opluwany do tej pory teren.

Ważne w tej sytuacji jest też to, czy Łukaszenkę stać na wyrwanie się spod wpływów Moskwy i czy w ogóle ma na to chęć. Przypomina mi się coś, co w 2020 r., podczas trwania zamieszek na Białorusi, powiedział mi politolog z okoputnionych kręgów.

Moje pytanie brzmiało: czy Łukaszenka może przegrać i oddać Europie Białoruś? Ów rosyjski politolog popatrzył na mnie z politowaniem i odpowiedział: „Czy wyobrażasz sobie, że Rosja zgodzi się, by NATO zbudowało swoje bazy 100 kilometrów od Smoleńska?”.

Istotnie, to byłby dość ryzykowny ruch. Obstawiam jednak, że białoruski lider nie ma zamiaru pogarszać w jakikolwiek sposób relacji z Putinem. Przeciwnie, wielokrotnie sygnalizował, że jakiegokolwiek próby wciągnięcia go w tę grę są skazane na porażkę.

Zresztą w ostatnich dniach nagły wzrost poziomu straszenia Polaków przystąpieniem Białorusi do wojny z Ukrainą i opowieści o „zwiększaniu nacisku na wschodnią flankę NATO” świadczą o tym, że Ukraina i Polska z niepokojem patrzą na możliwość, iż USA zmienią kurs wobec Białorusi, by również z tej strony rozpocząć ocieplanie stosunków z Putinem. I trudno się polskim politykom dziwić. Bo co robią, gdy ambasador Rose zadzwoni, że od dzisiaj Białoruś jest bardzo fajna i nie byłoby wskazane, by jacyś tam Polacy rozbiłi jej wbrew? I co wtedy? Co robi wtedy minister spraw zagranicznych, redaktorzy wielkich mediów, wielcy publicyści, którzy od lat wieszali wobec Białorusi i jej szefie wszystkie okoliczne psy? Co wtedy z dyżurnymi białoruskimi opozycjonistami, mieszkającymi w Polsce i na zawołanie dającymi swe twarze i właściwe poglądy w polskich mediach?

Na razie przyglądają się z lękiem planowanemu spotkaniu Łukaszenka–Trump. Co to będzie, co to będzie? I tylko Polska zostanie jak ten Himilsbach z angielskim.

MACIEJ WIŚNIEWSKI

Niebieski paszport

Andrzej Poczubot w Polsce

Przed południem 28 kwietnia czarne wany mknęły na sygnałach przez Hajnówkę w kierunku Białowieży. Czy w jednym z nich siedział Donald Tusk z koordynatorem ds. służb specjalnych, dawnym jego osobistym kierowcą Tomaszem Siemoniakiem – nie wiadomo. Było tak czy nie było, godzinę później przewodniczący Koalicji Obywatelskiej witał przekazanego Polsce przez Baćkę Andrzeja Poczubota, opozycjonistę i korespondenta „Gazety Wyborczej” na Białorusi.

Z Tuskiem witał go zastępca Michnika Bartosz Wieliński, co mogło wywoływać zdziwko u nieorientowanych. Ale to ten niezbyt oryginalny w swoich publikacjach publicysta, obsługujący na co dzień w mediach społecznościowych emocyjki w antypisowskim komentarzcie, najmocniej lobbował w sprawie białoruskiego aktywisty. To on też wygłaszał laudację, kiedy „Press” kilka lat temu przyznał Poczubotowi tytuł Dziennikarza Roku.

Kiedy już się władza razem z Wielińskim wyściskała do łez z wyglądadającym jak cień człowieka uwolnionym, kiedy wreszcie Wielińskiego zapakowano z nim do busa ABW, żeby drogą odwrotną z Białowieży przez Hajnówkę i prosto na Bielsk Podlaski wracać do Warszawy, było już jasne, że Poczubotowi nie było pilno do Polski.

Łukaszenka nie odebrał mu paszportu w niebieskich okładkach, Poczubot nie wyartykułował z miejsca prośby o azyl w Polsce, a na dokładkę sam Donald Tusk zadeklarował na zwołanej na szybko konferencji prasowej, że oczywiście dziennikarz „może liczyć na naszą pełną pomoc, niezależnie od decyzji, jaką podejmie”.

Wieliński potem kilkakrotnie w różnych wypowiedziach sygnalizował, że Poczubot myśli o powrocie do ojczyzny, mimo że w Polsce obawiają się, że zaraz po comebacku na Białoruś wsadzą go natychmiast do łagru. Nie biorą przy tym pod uwagę te pięknoduchy prostego faktu, że

ten zniszczony przez permanentną walkę i darszty niemłody już przecież człowiek może mieć już tego wszystkiego dość.



I po tym, jak wróci do Grodna, zaraz ucieknie w prywatność, w podperowanie zdrowia, a być może, jak mu to podreperowane zdrowie i prezydent Białorusi pozwolą, do spokojnej, poprzedniej akademickiej kariery jako prawnik z wykształcenia.

Bo i po co mu ten niebieski paszport, który – jak to opisywał zastępca Michnika – Poczubot ścisł mocno w dłoń? CIA i KGB (FSB), wymieniając się szpiegami w Białowieży, mogą cieszyć się z sukcesu. Polska licząc na to, że Światłanę Cichanouską zastąpi się wkrótce Andrzejem Poczubotem, a ten będzie jej kandydatem na prezydenta Białorusi na wygnaniu, może się rozczarować. I wtedy dopiero można będzie zacząć odbudowywać prawdziwą politykę wschodnią. Tusk wróci na molo w Sopocie z Putinem, a Sikorski postoi na balkoniku w MSZ-ecie z Ławrowem dogaszającym peta. A Łukaszenka przy okazji zwiżtuje to, co zostało po naszych pegeerach.

JMP

Stąd do wolności

USA czy Chiny – oto jest pytanie

Pierwszego maja zniknęły cła na eksport do Chin z 20 państw Afryki. Postrzeganych jako te najbogatsze. 33 uważane za słabiej rozwinięte otrzymały ten przywilej już w zeszłym roku. W czasie wojny celnej, którą prezydent Donald Trump wypowiedział reszcie świata. Wtedy, w sierpniu 2025 r., stawki celne nałożone przez USA na państwa afrykańskie wynosiły 30–40 proc. Teraz większość z nich podlega cłu wynoszącemu 10 proc., bo amerykański Sąd Najwyższy uchylił dekrety prezydenta Trumpa, uznając je za bezprawne.

Chiny są dziś największym partnerem handlowym Afryki, kontynentu liczącego 1,5 mld konsumentów. W 2025 r. chińsko-afrykańskie obroty handlowe osiągnęły rekordową wartość 348 mld dol. Wzrost nie był równomierny. Chiński eksport do gospodarek afrykańskich urósł o ok. 25 proc., zaś chiński import z Afryki wzrósł o 5 proc.

Taki stan wynika przede wszystkim ze stanu struktury handlujących gospodarek. Afryka nadal importuje z Chin coraz więcej towarów przemysłowych, zaspokajając potrzeby gospodarstw domowych, a eksportuje swe surowce. Dlatego największymi partnerami handlowymi Pekinu są: zasobna w ropę naftową Angola oraz Demokratyczna Republika Konga i Republika Południowej Afryki, skąd Chiny kupują rudy metali i inne minerały. Afrykańskich wwiader i paneli słonecznych chińskie firmy handlowe nie kupują.

Gospodarka, głupcy!

Wedle opinii analityków skutki tych zerowych stawek celnych nie będą od razu odczuwalne. W dłuższej perspektywie czasowej mogą znacząco poprawić kondycję afrykańskich gospodarek. Jeśli pójdą „chińską drogą”. Zwiększą produkcję przemysłową, zdywersyfikują eksport, zaczną sprzedawać swoje towary przetworzone. Dziś korzyści z chińskich stawek odnoszą takie państwa jak Maroko i RPA, które już mają potencjał eksportowy.

Oczywiste też jest, że decyzja o zniesieniu ceł ma też wymiar polityczny. Prezydent Xi Jinping dba, aby Chiny postrzegane były jako alternatywa amerykańskiego nowego protekcyjizmu. Chińska decyzja spodobała się nie tylko afrykańskiej opinii publicznej, także rynkom globalnym. Dziś mocarstwowe „komunistyczne” Chiny jawią się jako obrońcy wolnego, nieskrepowanego protekcyjnistycznymi barierami handlu międzynarodowego. Depozytariuszem zasad liberalnej gospodarki i globalnego handlu.

Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że nadchodzi nowa zimna wojna. Między USA a Chinami. Wojna globalna z udziałem sojuszników Waszyngtonu i Pekinu. Poprzednia trwała w latach 1947–1991. Była rywalizacją wojskową, polityczną, gospodarczą i ideologiczną pomiędzy dwoma blokami państw. Ten zwany zachodnim, demokratycznym, dowodzony był politycznie przez USA. Waszyngton wspierał zachodnioeuropejskich sojuszników z NATO oraz pozaeuropejskich z paktów SEATO i CENTO. Drugi, zwany wschodnim, lub pogardliwie komunistycznym, dowodzony był przez ZSRR.

Wspierali go wschodnioeuropejscy sojusznicy z Układu Warszawskiego i państwa pozaeuropejskie zawierające polityczne i wojskowe sojusze z Moskwą.

Chinizm w natarczy

Tamtej zimnej wojnie towarzyszyły wyścig zbrojeń, technologiczny wyścig podboju kosmosu i rywalizacja gospodarcza. Ta przekładała się na ciągły propagandowy plebiscyt. Stałe porównania poziomu życia w USA i zachodniej Europie z jakością życia obywateli w ZSRR i jego europejskich sojuszników. Oba bloki stałe walczyły też o pokój, który na stałe zagościł w Europie i USA oraz militarnie na wojnach zastępczych toczonych w Azji, Afryce i Ameryce Południowej. Kosztem miejscowej ludności.

Wojna rozgrywała się też na froncie ideologicznym. Zachód promował i eksportował swą demokrację parlamentarną oraz wolnorynkową, liberalną gospodarkę. ZSRR promował ideologię radzieckiej wersji komunizmu. Rywalizujące z nim od lat 60. XX w. Chiny promowały swój maoizm. Wraz z nim promowano socjalistyczną gospodarkę nakazowo-rozdzielczą. Korzystną dla państw postkolonialnych, gospodarek kapitalizmu bez kapitału.

ZSRR przegrał tamtą zimną wojnę. Bo jego gospodarka nie udźwignęła wyścigu zbrojeń, podboju kosmosu i kosztów wojen zastępczych. To wpłynęło na przegraną w plebiscycie jakości życia obywateli.

Po rozpadzie ZSRR w 1991 r. dotychczasowi sojusznicy Moskwy z Europu Środkowo-Wschodniej przechrztili się na wolnorynkową gospodarkę i przyjęli system demokracji parlamentarnej. Przeszli potem do NATO i Unii Europejskiej. Inaczej było w Rosji i azjatyckich republikach postradzieckich. Tam zapanował też wolnorynkowy kapitalizm, ale już oligarchiczny.

W Rosji zachodnia demokracja parlamentarno-gabinetowa się nie przyjęła. W republikach azjatyckich zatrumfowały systemy oligarchiczne z nieortodoksyjnie demokratycznymi parlamentami.

Jako zwycięskie z tamtej wojny wyszły Chiny. Bo poszły własną drogą. Powstała tam gospodarka łącząca wolny rynek z systemem państwowego centralnego i lokalnego planowania. Bazująca na tradycyjnej chińskiej merytokracji. Ten oryginalny system gospodarczy, inny od europejskich modeli kapitalizmu i komunizmu, profesor Grzegorz Kołodko celnie nazwał chinizmem. Dziś chiński model obserwują i czasem naśladują państwa azjatyckie, afrykańskie i południowoamerykańskie. Bo w ciągu ostatnich 30 lat chińska gospodarka była najefektywniejsza na świecie.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dzięki niej Chiny wróciły do roli globalnego gospodarczego mocarstwa.

Bezpieczeństwo ponad wszystko

W czasie poprzedniej zimnej wojny mieszkańcy ZSRR i państw z nim sprzymierzonych marzyli o emigracji do państw „demokratycznego” Zachodu. Wabieni sklepami pełnymi towarów, marzeniami o nielimitowanej konsumpcji i perspektywami tam prawami człowieka. Poszanowaniem dla wolności.

Gdyby dziś doszło w Polsce do plebiscytu, z którym z rywalizujących właśnie mocarstw, z USA czy Chinami, państwo polskie i Polacy powinni współpracować, to wynik nie byłby tak jednoznaczny jak podczas tamtej zimnej wojny. Dziś oba konkurujące mocarstwa oferują konsumentom pełną ofertę towarów. Chiny nawet nadmiar.

Chiny nie uzależniają swej współpracy gospodarczej od przyjęcia ich ideologii. Chińskiego systemu praw człowieka, chińskich norm prawnych, modelu politycznego, religii, etyki konfucjańskiej.

Przeciwnie, już na wstępie zastrzegają, że będą szanować system polityczny, gospodarczy, etyczny

partnera. Jego integralność terytorialną i politykę wewnętrzną. Jednocześnie oczekują wzajemności. Czyli poszanowania chińskiego systemu politycznego, gospodarczego, etycznego. Chińskiej integralności terytorialnej i polityki wewnętrznej. Dziś chińska współpraca międzynarodowa bazuje przede wszystkim na współpracy gospodarczej. Jest pragmatyczna i często transakcyjna. Jeśli strona chińska uznaje, że warto zawrzeć z kimś porozumienie, to je czyni. Zapominając nawet o aktualnych sporach czy rachunku historycznych krzywd.

Inaczej widzi współpracę międzynarodową obecny prezydent USA i jego administracja. Przede wszystkim gromko i publicznie zrywają oni z tradycyjnymi zasadami zachodniej demokracji i obroną praw człowieka. Zwijają i odrzucają właśnie sztandary, pod którymi „demokratyczny” Zachód walczył z „totalitarnym” ZSRR. Stale też sztychą z tradycyjnych europejskich wartości, o które walczyła kiedyś polska „demokratyczna opozycja”, a potem ruch społeczny Solidarność. Prezydent Reagan akceptował robociarski strój Lecha Wałęsy, a ekipa prezydenta Trumpa upokorzyła ukraińskiego prezydenta jedynie za brak wypasionej garnituru.

Prezydent Trump i jego ekipa gromko propagują swe konserwatywne wartości i swoje wizje chrześcijaństwa. Stale krytykują przywódców innych państw za kulturowanie innych wartości i innego postrzegania religii. Jawnie, czasem demonstracyjnie, popierają w czasie demokratycznych wyborów bliskich ideowo, zaprzysiężonych kandydatów. Ingerując w wybory.

Wobec wrogich przywódców prezydent USA nie cofa się przed decyzjami o porwaniu ich i uwięzieniu w amerykańskich więzieniach. Nie cofa się przed decyzjami o zabiciu przywódców państwa uznanego za wroga. Jednocześnie w gospodarce współpracy międzynarodowej prowadzi woluntarystyczną, pragmatyczną politykę. Też transakcyjną, ale nierzadko z publicznym obrażaniem partnera. Wymuszaniem od niego hołdów wiernopoddanych.

Polskie elity polityczne godzą się na trumpowski styl polityki, bo USA nadal jest gwarantem bezpieczeństwa dla Ukrainy i państw Europy Środkowo-Wschodniej. Bo trwa wojna na Ukrainie. Bo bezpieczeństwo polskiego państwa jest ponad demokratycznymi wartościami.

Czy wolność w wyborze międzynarodowych partnerów nastanie u nas dopiero po zakończeniu wojny rosyjsko-ukraińskiej?

PIOTR GADZINOWSKI



Trumpolandia

Niejaki Cole Tomas Allen, 31-letni nauczyciel z Torrance w Kalifornii, lekkim krokiem przebiegł obok agentów Secret Service strzegących wejścia do Hotelu Hilton, gdzie odbywał się doroczny jubel dla korespondentów z Białego Domu, wpakował kulę prosto w kamizelkę kuloodporną innego agenta, po czym potknął się o skrzynkę magnetometru, wywalił na ryj – i wtedy został ujęty. Po. Prokuratora generalnego Todd Blanche okrzyknął działania Secret Service „ogromnym sukcesem w dziedzinie bezpieczeństwa”, ale po namyśle administracja Trumpa uznała, że sytuacja nie była jednak idealna. Albowiem atak w Hiltonie absolutnie wskazuje na konieczność wybudowania sali balowej przy Białym Domu. To jedna z trumpowych obsesji: jesienią znienacka, olewając wszelakie procedury, zburzył Wschodnie Skrzydło, aby stanęła tam absurdalna, monstrualna sala, zjebana przez wszystkich bez wyjątku architektów oceniających projekt. Konstrukcja ma kosztować 400 mln dolarów, które mają ponoć wyłożyć prywatni sponsorzy. W zamian za co – nie wiadomo. Aktualnie prace są

wstrzymane decyzją sądu, który stwierdził, że na taką budowę prezydent musi mieć zgodę Kongresu – ale Departament Sprawiedliwości już złożył wniosek o anulowanie tej decyzji, powołując się na incydent w Hiltonie.

Dwa dni po rzekomym zamachu Norah O'Donnell z programu „60 Minutes” telewizji CBS przeczytała prezydentowi USA fragment manifestu niedoszłego zabójcy. Allen pisze w nim – nie wymieniając nazwiska Trumpa – że nie chce dłużej czuć się splamiony przez „zbrodnie pedofila, gwałticiela i zdrajcę”. „Czekałem, żebyś to przeczytała, bo wiedziałem, że to przeczytasz, bo jesteście okropnymi ludźmi. Okropnymi” – odparował prezydent. „O, myśli pan, że on to pisał o panu?” – zapytała bystrze dziennikarka, ale Donald nie dał się zbýć z tropu: „Nie jestem gwałticielem. Nikogo nie zgwałciłem. Nie jestem pedofilem. Czytasz te bzdury napisane przez jakąś chorą osobę, która powiązała mnie z rzeczami, które nie mają ze mną nic wspólnego. Zostałem całkowicie niewinny”. Nie sądzicie, że kiedy

Przywódca Wolnego Świata słyszy słowo „gwałticiel” i jego odruchowa reakcja brzmi: „Zostałem całkowicie niewinny” – to jest moment, żeby przemysleć cały geopolityczny porządek globu?

I jeszcze à propos niebezpiecznych skrajności: rok temu James Comey – upiornie patriotyczny i propaństwowy były dyrektor FBI wylany przez Trumpa z pracy za niedostatek lojalności – powiedział na Instagramie zdjęcie piasku na plaży. Na piasku z muszelek ułożone były cyfry 8647. „Fajna formacja muszli podczas mojego spaceru po plaży” – napisał Comey w komentarzu. 86 – to slangowe określenie wywodzące się z gastronomii lat 30. XX w.; oznaczało, że jakieś danie trzeba wykreślić z karty, bo się wyprzedziło, albo że jakiegoś gościa trzeba wyrzucić z knajpy, bo rozrabia. W czasach prohibicji było używane, kiedy policjanci w układzie z mafią dzwonili do szefów knajp, żeby „86 klientów” – co oznaczało, że trzeba ich wyrzucić, bo będzie nalot. 47 kojarzy się popularnie z 47. (a tak – że 45.) prezydentem USA, Donaldem Trumpem. Rok po publikacji fotki na Insta, prokuratura wystąpiła z aktem oskarżenia: „Oskarżony, JAMES BRIEN COMEY JR, świadomie i umyślnie


RYS. MAURIZIO DI BONA

groził odebraniem życia oraz spowodowaniem obrażeń ciała prezydenta Stanów Zjednoczonych poprzez publiczne opublikowanie na portalu społecznościowym Instagram zdjęcia przedstawiającego muszle ułożone w wzór tworzący napis »86 47«, co rozsądny odbiorca zaznajomiony z okolicznościami zinterpretowałby jako poważny wyraz zamiaru wyrządzenia krzywdy prezydentowi Stanów Zjednoczonych”. Drugi zarzut stanowi, że Comey „świadomie i umyślnie przekazał w handlu międzystanowym i zagranicznym komunikat zawierający tę groźbę”. Jak to dobrze, że w tych trudnych czasach polska prawica ma tak świetne relacje z naszym poważnym i odpowiedzialnym Wielkim Sojusznikiem.

Zohran Mamdani wraz z Barackiem Obamą, w ramach promocji programu bezpłatnej opieki nad dziećmi, odwiedzili przedszkole w Bronxie, gdzie mer Nowego Jorku i były prezydent poczytali dzieciom książeczkę o wadze wspólnoty i zaśpiewali piosenkę o kołach autobusu. Najbardziej ujęły nas komentarze internautów. Zwłaszcza taki: „W końcu dwóch facetów w polityce, których można bez obawy dopuścić w pobliże dzieci”.

AWŁ

Brukselska konferencja pokazała, kto jest przeciw ludobójstwu, a kto za

Selektywna moralność Europy

Globalny Kongres Parlamentarny Sumud naprawdę zgromadził polityków z wielu zakątków globu: byli członkowie parlamentów Brazylii, Senegalu i Malezji, dwoje posłów tureckich, były prezydent Tunezji, członek rządu Kolumbii, szefowa algierskiej partii trockistowskiej, działaczka na rzecz praw człowieka z RPA... Ale tak naprawdę było to spotkanie parlamentarzystów europejskich z działaczami palestyńskimi i wysokimi urzędnikami ONZ. Co wydaje się sensowne, bo to Europa ma w tej sprawie szczególnie nieczyste sumienie – i powinna wysłuchać, do czego przykładą rękę. (Poza nawiasem tej dyskusji pozostają oczywiście Stany Zjednoczone – ale przecież już chyba nikt, poza Karolem Nawrockim, nie ma wątpliwości, że USA to imperium zła).

Problem wydarzeń takich jak kwietniowa brukselska konferencja Sumud polega wszakże na tym, że biorą w niej udział ci dobrzy: politycy, którzy rozumieją ogrom tragedii, zbrodni i niemożności działań Izraela wobec Palestyńczyków – jest to zatem trochę kazanie do chóru.

Listę otwierał – przynajmniej dla mnie – Jeremy Corbyn, który za swoją wierność sprawie palestyńskiej zapłacił dorobieniem mu geby antysemitę, kłeską wyborczą Labour Party w roku 2019 i wreszcie wyrzuceniem z partii, do której należał przez 55 lat. Poza nim europejskich polityków reprezentowało sporo europosłów – ale z dwoma wyjątkami należeli oni do Grupy Lewicy wcześniej zwanej GUE/NGL, czyli frakcji lewackiej. O tym, że to lewacy są tą formacją polityczną i ideową, która przeciwstawia się izraelskim zbrodniom – i to nie od 7 października, ale tak naprawdę od Nakby, czyli masowego wysiedlenia Palestyńczyków przez Izrael w roku 1948 – wszyscy wiemy. Byłoby dobrze, gdyby także w innych środowiskach politycznych – chociażby tych, które nazywają się lewicą – taka postawa zaczęła się rozpowszechniać.

Boycott, Divestment and Sanctions

Jaka jest na to szansa? To chyba najważniejsze z pytań, jakie zadawali sobie uczestnicy konferencji.

Najbrutalniej postawiła je włoska prawniczka Francesca Albanese, od 2022 r. specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. okupowanych terytoriów palestyńskich.

Ta delikatna niewiasta o szpakowatych włosach i stalowej osobowości jest wrogiem publicznym nie tylko w Izraelu, ale także w USA: Marco Rubio osobiście nałożył na nią sankcje w odwecie za raport zatytułowany „Od ekonomii okupacji do ekonomii ludobójstwa” – który wymienia 48 firm, głównie amerykańskich, czerpiących zyski z izraelskich zbrodni. Sankcje na specjalnego sprawozdawcę ONZ – oznaczające zakaz wjazdu do USA, więc również do siedziby ONZ w Nowym Jorku, a także np. niemożność używania kart kredytowych – są wulgarnym złamaniem prawa międzynarodowego, w tym Konwencji z 1946 r. o przywilejach i immunitetach Organizacji Narodów Zjednoczonych. W imperium zła nikt się tym, niezaskakująco, nie przejmie.

W Brukseli Albanese zadawała pytania o skuteczność tej formy oporu, jaką jest Flotylla, która nigdy nie dociera do Gazy. Przypominała słynne zdjęcie studenta stojącego na wprost czołgów na Placu Tiananmen. – Nie możemy ryzykować tego, że będziemy tylko symbolem – przekonywała.

– Jest jasne, że kraje ONZ, firmy w tych krajach, mają obowiązek nie handlować i nie wspierać dostawy broni. Czas najwyższy wykorzystać wszystkie możliwości, które macie w swoich krajach, aby zakończyć ten współludział: w portach, w centrach dystrybucji, w łańcuchach dostaw – apelowała do obecnych na sali polityków i działaczy.

Albanese namawiała do wykorzystania doświadczeń BDS (Boycott, Divestment and Sanctions) – ruchu zmierzającego

do bojkotu izraelskich towarów, wycofywania inwestycji i sankcji gospodarczych wobec Izraela.

– Chodzi o skuteczne i skoordynowane zaburzenie materialnej infrastruktury, która podtrzymuje ludobójczy system. To wymaga koordynacji i przywództwa. Nie da się zinstytucjonalizować rewolucji – mówiła Albanese, przeprosiwszy uprzednio, że będzie psuć imprezę.

Jestem przeciwko Palestine Action, popieram ludobójstwo

Albanese ma oczywiście rację. Z tym że politycy, którzy mają odwagę podejmować takie działania, są w mniejszości – i nieomal nigdy przy władzy. Jak ujął to Jeremy Corbyn: – Palestyna ma przyjaciół na ulicach, potężne, żywe wsparcie ludzi, wielkich demonstracji, ale nie ma wielu przyjaciół wśród rządzących.

Brytyjski lewicowiec z nazwy rząd wykazuje niezwykle wprost zaangażowanie we wspieranie izraelskiego genocydu. Gabinet Keira Starmera posunął się do wpisania ruchu obywatelskiego nieposłuszeństwa Palestine Action na listę organizacji terrorystycznych – co

oznacza, że samo wyrażenie poparcia dla PA jest powodem do aresztowania. Teraz brytyjska policja zwija z ulicy tłumy staruszków z plakatami „Popieram Palestine Action, protestuję przeciwko ludobójstwu”. (Szczególnego absurdu prawo to nabrało, kiedy psy ominęły koleśki z plakatem: „Jestem przeciwko Palestine Action, popieram ludobójstwo”).

W zeszłym roku, po tym jak Izba Gmin odrzuciła wniosek Corbyna o przeprowadzenie dochodzenia w sprawie udziału Wielkiej Brytanii w izraelskich operacjach wojskowych przeciwko Palestyńczykom, zorganizował on niezależne wystąpienie publiczne z udziałem lekarzy pracujących w Strefie Gazy, palestyńskich dziennikarzy, parlamentarzystów i działaczy społecznych, a także Francuski Albanese. Ustalenia – dokumentujące brytyjską współodpowiedzialność za izraelskie zbrodnie – były porażające, nawet jeśli niezaskakujące. Nie wpłynęły jednak w żaden sposób na brytyjski rząd.

Inne doświadczenia w tym zakresie mają Francuzi. Francuska europosłanka Rima Hassan mówiła o projekcie znanym jako „ustawa Yadan”. Jego autorka – francuska posłanka żydowskiego pochodzenia Caroline Yadan, reprezentująca okręg zagraniczny obejmujący Izrael – chciała zrównać antysyjonizm z antysemityzmem, rozszerzyć zakaz pochwalania terroryzmu na „pochwały pośrednie”, a także penalizować porównywanie polityki Izraela do polityki III Rzeszy jako „negowanie holokaustu”. Po tym, jak pod petycją przeciwko projektowi podpisało się 700 tys. obywateli – został on wycofany. Presja zadziałała.

Acz nie w Brukseli. Europejska Inicjatywa Obywatelska w sprawie zawieszenia układu o stowarzyszeniu między UE a Izraelem zebrała milion podpisów w ciągu trzech miesięcy – co było rekordowym tempem w historii EIO – a mimo to ministrowie spraw zagranicznych Unii nie zgodzili się nawet na częściowe zawieszenie umowy, która w art. 2 mówi, że „istotny element niniejszego Układu” stanowi „poszanowanie praw człowieka i na zasadach demokracji,

którymi Strony kierują się w swojej polityce wewnętrznej i zagranicznej”.

Rosyjscy malarze groźniejsi od izraelskich buldożerów

Hipokryzja i podwójne standardy, panujące w UE, są szczególnie widoczne, kiedy porównamy to, jak owa „wspólna wartość” odnosi się Izraela – a jak do Rosji. Mówił o tym m.in. belgijski europosł Marc Botenga.

– Unia przyjęła właśnie 20. pakiet sankcji przeciwko Rosji, przedłużyła sankcje wymierzone w Iran, odebrała finansowanie weneckiemu Biennale w związku z planami wystawiania prac rosyjskich artystów – mówił Botenga. – Widać przyjmowanie artystów z Rosji jest gorsze niż używanie buldożerów do zrównywania z ziemią domów Palestyńczyków i bombardowanie kulturalnego dziedzictwa Iranu. Tak wygląda moralna postawa UE. Popelniać zbrodnie można tylko, jak się jest sojusznikiem Europy.

Z drugiej strony wszakże belgijski polityk zauważył, że we wrześniu zeszłego roku Ursula von der Leyen sama zaproponowała jakieś – szczerze mówiąc – rozwiązanie wymierzone w Izrael.

– Presja społeczna stała się nie do zniesienia. Z ich strachu rodzi się nasza nadzieja – zakończył Botenga przy huraganowych oklaskach. O podobnej strategii mówił Michael Fakhri, specjalny sprawozdawca ONZ ds. prawa do wypowiedzenia: – Mamy narzędzia nacisku. Jeśli politycy zrozumieją, że wybory mogą przegrać lub wygrać w zależności od tego, co zrobili w sprawie Gazy, ich postawa się zmieni.

– Uwierzcie: przyjdzie taki moment w historii, kiedy wszyscy będą mówili, że zawsze byli przeciw ludobójstwu – mówiła Hazami Barmada,

amerykańska aktywistka Flotylli.

Też tak myślę. I myślę – choć w tej chwili trudno to sobie wyobrazić – że przyjdzie on szybciej, niż sądzimy.

Może więc, na wszelki wypadek, już teraz zacząć być przeciw?

Tak rzucam, pod rozwagę elitom politycznym RP.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Sumud znaczy wytrwałość

Izraelscy piraci kontra świadkowie zagłady

Flotylla Sumud, która 30 kwietnia została napadnięta przez Izrael u wybrzeży Krety, to 37. – od 2007 r. – misja morska podjęta w celu przełamania blokady Gazy.

Jednostki flotylli zostały zaatakowane na wodach międzynarodowych, ponad 600 mil od Strefy Gazy. Zgodnie z Konwencją Narodów Zjednoczonych o prawie morza (UNCLOS) swoboda żeglugi na wodach międzynarodowych jest jedną z podstawowych zasad prawa międzynarodowego. Interwencja zbrojna wobec statków cywilnych poza wodami terytorialnymi danego państwa jest naruszeniem tej zasady – chyba że istnieją wyjątkowe okoliczności, które uzasadniają takie działanie. Próba dostarczenia pomocy humanitarnej głodującym mieszkańcom okupowanego kraju nie mieści się w tej definicji.

Armia izraelskiego okupanta nielegalnie przejęła 22 statki i łodzie i porwała 175 uczestników flotylli. 173 z nich zostało następnie zwolnionych; 36 w wyniku obrażeń poniesionych z rąk izraelskich żołnierzy trafiło do szpitala. W rękach piratów pozostali dwaj aktywiści: Palestyńczyk Saif Abu Keshek i Brazylijczyk Thiago Ávila. Od czwartku 30 kwietnia obydwoj prowadzą strajk głodowy. We wtorek sąd w Aszkelonie po raz drugi przedłużył ich areszt – tym razem o sześć dni, do 10 maja. Izraelska prokuratura twierdzi, że Abu Keshek i Ávila muszą pozostać w jej rękach, bo są podejrzewani o najcięższe zbrodnie: pomoc wrogowi w czasie wojny, kontakt z obcym agentem, człon-



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

kostwo w organizacji uznanej za terrorystyczną, świadczenie usług i przekazywanie mienia takiej organizacji. Obrona argumentowała, że udzielanie pomocy ludności cywilnej za pośrednictwem misji humanitarnej nie jest działaniem w organizacji terrorystycznej, a także że aktywiści zatrzymani 1000 km od Gazy i niebędący obywatelami Izraela nie podlegają izraelskiemu prawu. Na izraelskim sądzie argumenty te oczywiście nie zrobiły wrażenia.

Saif to mój przyjaciel od ponad 20 lat, Thiago – towarzysz walki i z izraelskiej celi.

Saif ma hiszpański i szwedzki paszport, pochodzi z Nablus na Zachodnim Brzegu. Nie złamała go blokada Gazy, nie ugiął się przed żadnymi groźbami. Towarzyszyłem mu przez wiele lat i byłem świadkiem jego kamiennej determinacji. Razem planowaliśmy wiele akcji i uczestniczyliśmy w nich,

a najważniejszą z nich była zeszłoroczna Flotylla. Wtedy Saif wspierał nas z lądu, toteż nie został porwany. Ja natomiast doświadczyłem tego na morzu.

Tam, na wodach międzynarodowych, poznaliśmy znaczenie współczesnego piractwa. Marynarka okupanta porwała 470 pokojowych aktywistów, wśród których znaleźliśmy się ja i Thiago – dołączając, choć tylko na chwilę, do pocztu tysięcy palestyńskich więźniów: Marwana Barghouthiego, doktora Hossama Abu Saifi, Ahmada Sa'adata i innych, którzy od lat cierpią za kratami.

Thiago to nie tylko towarzysz drogi, to brat z celi. To już trzecia próba dotarcia do Gazy. Widziałem w nim rzadki przykład żywej międzynarodowej solidarności – człowieka, który odmawia milczenia wobec niesprawiedliwości, nawet jeśli kosztuje go to wolność raz za razem.

Razem zostaliśmy siłą uprowadzeni, potraktowani brutalnie i poniżająco – nie dlatego, że stanowiliśmy jakiegokolwiek realne zagrożenie, ale dlatego, że odważyliśmy się rzucić wyzwanie blokadzie duszącej miliony ludzi. To zorganizowane piractwo i chuligańskie metody, niegodne państwa, które twierdzi, że szanuje prawo.

Ale historia nie kończy się na morzu.

Podczas gdy media skupiają swoje – słabe – światło na krótkotrwałym aresztowaniu aktywistów Flotylli Sumud, ludzie na całym świecie nie zdejają sobie sprawy, że tysiące Palestyńczyków gniją w więzieniach okupanta od dziesięcioleci. Bez sprawiedliwych procesów, bez nadziei na wolność. To ponad 6000 palestyńskich więźniów – wśród nich

dzieci, kobiety, ludzie chorzy. Wielu z nich jest osadzonych w izolatkach, poddawanych torturom i celowym zaniedbaniom medycznym, w warunkach urągających ludzkiej godności. Niektórzy spędzili za kratami ponad 30 lat. Większość nie wie, kiedy ich cierpienie się skończy.

Izraelskie więzienia takie jak Ramla, Negew, Ofer czy Aszkelon to nie tylko miejsca odosobnienia – to obozy koncentracyjne służące upokorzeniu Palestyńczyków i politycznemu szantażowi przy użyciu żywych i martwych.

Nie chodzi o „bezpieczeństwo” – jak twierdzą okupanci – lecz o podstępą i systematyczną kontrolę trwającą od dziesięcioleci. Administracyjne aresztowania bez postawienia zarzutów, niesprawiedliwe sądy wojskowe, dzieci sądzone na podstawie absurdalnych oskarżeń o posiadanie ostrej amunicji czy planowanie ataku na izraelskich żołnierzy.

Jedna nić łączy naszą historię z nimi wszystkimi. Saif, który wyrastał na palestyńskiej ziemi, Thiago, internacjonalista i bohater walki przeciwko okupacji, tysiące innych w więzieniach okupanta – wszyscy stawiamy czoła tej samej machinie. Machinie, która pozbawia Gazę wody, żywności i leków, zwala domy na głowy ich mieszkańców na Zachodnim Brzegu, chłoscze więźniów w celach.

Ale nie będziemy czekać z założonymi rękami. Każdego dnia, w którym więzień wytrwa, za każdym razem, gdy aktywista wypływa, by złamać blokadę – jest to przesłanie dla świata: ta zbrodnia nie pozostanie bez świadków. A świadkami są dziś nie tylko ofiary, ale każdy, kto odmawia milczenia wobec piractwa na morzach i naruszeń w więzieniach.

OMAR FARIS

Dziewczyna Nawrockiego

Prezydent nie ma szczęścia do kobiet

Już w czasie kampanii wyborczej i w początkach kadencji kobiety w życiu Karola Nawrockiego były tematem kontrowersyjnym. Nie chodzi już nawet o wybór osobistej małżonki, choć i tu pojawiały się różne opinie, ale to jego życie prywatne i nikomu nic do tego. Gorzej jest w przypadku białogłów pojawiających się w życiu zawodowym prezydenta, począwszy od powijków kariery w sopockim Grand Hotelu. Tam wątek kobiecy ma posmak nierządu, w związku z czym w pewnych kręgach przylgnął do niego odmienny pseudonim, niekoniecznie licujący z godnością prezydenta. Ks. Popietuszek, zanim został świętym, zmienił to imię na Jerzego, wstydząc się nieprzystojnych konotacji.

Herod i baba

Ale Sopot i Grand Hotel pozostają w sferze gdybań, domysłów i chęci dokuczenia Nawrockiemu. Tymczasem on sam robi wiele, aby napętać sobie biedy z kobietami w roli głównej. 13 kwietnia ułaskawił Weronikę Krawczyk.

Historia prezydenckich ułaskawień jest bogata i często kompromitująca, a najnowsza głowa państwa postanowiła się wpisać do tej księgi złotych zgłoskami. Weronika Krawczyk w mediach kościelnych jest prezentowana jako bohaterka i męczennica ruchu antyaborcyjnego. Postawiła się bowiem współczesnemu Herodowi w lekarskim kitlu, który chciał urządzić rzeź polskich niewiniątek, skrobiąc na potęgę. Pani Weronika sama odmówiła wykonania aborcji i odradzała korzystanie z usług dr. Piotra A. innym kobietom. Taka jest jej wersja. Odradzała zaś na tyle aktywnie i ofensywnie, że zdaniem sądu doszło do zniesławienia ginekologa.

„Wszystko zaczęło się dziewięć lat temu, gdy była w ciąży. Jak opowiada reporterowi »SE«, lekarz prowadzący skierował ją na badania prenatalne do specjalisty. To wtedy miała usłyszeć słowa, które do dziś śnią jej się po nocach. Po badaniu USG i zleceniu testu PAPP-A lekarz miał zaproponować aborcję. Gdy odmówiła, twierdzi, że miał rzucić do niej: »Po co ci down w domu«

– czytamy na stronie se.pl. Poszła z powrotem do lekarza prowadzącego, który wad płodu nie stwierdził. Urodziła zdrowego syna. I ruszyła na krucjatę przeciwko doktorowi A. – facebookową krucjatę. Na portalu społecznościowym popełniła pięć wpisów, które lekarz uznał za zniesławiające i wystąpił z prywatnym oskarżeniem. Pani Weronika nie wypierała się, że napisała, co napisała, a sąd uznał, że „stan faktyczny w tej sprawie był de facto bezsporny”.

Łaska pańska

Jak ustalili dziennikarze „Rzeczpospolitej”, jak zwykle było inaczej, niż to podają prawnicy i kler. W ocenie sądu Krawczyk w swoich zeznaniach popadała w sprzeczności, a ginekolog nie namawiał jej do aborcji, jedynie informował o prawnej możliwości jej przeprowadzenia. Żeby nie było: Piotr A. miał w 2008 r. wyrok za wykonywanie nielegalnych aborcji, ale nie został pozbawiony prawa wykonywania zawodu. Ponieważ przeciwniczka aborcji nie chciała go przeprosić za zniesławienie, groziło jej półtora miesiąca aresztu. Tak jak to było w przypadku idola prawniców Adama Borowskiego w sporze z Giertychem: on też nie chciał wykonać wyroku sądu, za co groził nieprzyjemności.

Weronika Krawczyk postąpiła w podobny sposób i w prawicowych mediach zrobiło z niej świętą Weronikę, która poszła sama na aborcyjne czołgi. I tutaj wchodzi cały na białą Karol Nawrocki z ułaskawieniem.

„Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej zastosował prawo łaski poprzez

darowanie kary ograniczenia wolności, środka karnego w postaci podania wyroku do publicznej wiadomości oraz obowiązku przeproszenia osoby pokrzywdzonej i zatańczenia skazania” – czytamy na stronie Kancelarii Prezydenta. Zadecydowały takie czynniki jak incydentalny charakter czynu, ustabilizowany tryb życia skazanej, sytuacja rodzinna i względy społeczne.

Listy piszą

Nawrocki ułaskawił, bo apelowali. Licznie. Pani Weronika stała się celebrytką w środowisku pro-life, następczynią Kai Godek, która zresztą intensywnie działała przy nagłośnieniu sprawy. Do prezydenta apelował choćby Ośrodek Monitorowania Antypolonizmu założony przez wzór patrioty Dariusza Mateckiego. Oświadczenia wydały tak egzotyczne twory jak Polskie Stowarzyszenie Obrońców Życia Człowieka czy Katolickie Stowarzyszenie Lekarzy Polskich. Każdy walczył o swój kawałek tortu w medialnej sprawie.

Zaangażowały się też podmioty kościelne. List do głowy państwa wystosowała Akcja Katolicka z podpisem jej kościelnego asystenta, bepe Marka Mendyka ze Świdnicy. „Akcja Katolicka w Polsce podkreśla, że wyrok sądu w sprawie Pani Weroniki prowadzi do ochrony interesu sprawcy licznych aborcji, a nie dobra, jakim jest życie od poczęcia. Zauważamy szybką egzekucję wyroku, a fakt, że Pani Weronika odrabia już obecnie zasądzone prace społeczne – jest obrazem szokującej niesprawiedliwości. Podobnie próba przymuszenia skazanej do przeproszenia lekarza, który chciał dokonać aborcji na jej synu, budzi oburzenie. Lekarzowi, który dokonał wielu aborcji i proponował kolejne – nie należą się żadne przeprosiny. Fakt, że za brak przeprosin sąd zamierza wysłać młodą matkę do zakładu karnego, oceniamy jako głębokie zaprzeczenie wartości, na jakich opierać się ma życie społeczne w naszej Ojczyźnie” – czytamy w pismennym piśmie.

Nie była to jedyna ekscelencja, która dała głos w tej sprawie. O łaskę boską

i prezydencką prosił też bepe Ryszard Kasyna z Pelplina, którego diecezjaną jest Krawczyk. „Za słowa prawdy została skazana prawomocnym wyrokiem sądu na prace społeczne i zobowiązana do publicznego przeproszenia tego lekarza. Odmowa złożenia przeprosin grozi jej pozbawieniem wolności. Zwróciłem się z prośbą do Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej o ułaskawienie Pani Weroniki. Proszę was również o podpisanie petycji w tej sprawie, szczególnie znajdziecie na stronie naszej diecezji i parafii” – zamartwiał się biskup, a po akcie łaski z równym zapalem dziękował tym, którzy się modlili i działali. „Swoją postawą daliście świadectwo żywej wiary i pokazaliście, że wspólnota Kościoła potrafi stanąć w obronie tych, którym grozi niesprawiedliwość” – podniecał się sprawczością swoją i owieczek Kasyna.

Jasna Góra płodów

Mimo że sprawa jest dęta, to nawet po ułaskawieniu hierarchowie Kościoła kat. nie odpuścili, bo przecież rzadko trafia się tak głośna afera ze skrobanką w tle. Do fioletowego chóru dołączył abepe Tadeusz Wojda, przewodniczący Konferencji Episkopatu

Polski, który miał okazję uzewnętrznic się w Częstochowie podczas trzeciomażowego odpustu w święto Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski. Skojarzenia nasuwały mu się same: pani Weronika tak jak Maryja jest posłuszną Bogu. A kto inaczej czyni, ten wiadomo kto. – Dziękuję, że wołała iść do więzienia, ale nie sprzeciwić się woli bożej. To wielkie i piękne świadectwo, które nas wszystkich uczy, że miłość do dziecka powinna zawsze zwyciężać, że powinno się rodzić dzieci i żyć w zaufaniu do Boga, a wówczas wszystko będzie dobrze – mówił, jakby groził jej co najmniej łagier.

Dr Piotr A. widzi tę sprawę mniej metafizycznie. W wypowiedzi dla „Rzeczy” stwierdził: – Pani K. znalazła sobie pomocników w postaci Fundacji Życie i Rodzina (fundacja Kai Godek – red.) – moim zdaniem jest to taka bojówka, która wyszukuje różne tematy, i ona stała się dla nich twarzą. Nagadali bzdur, mają swoich fanów i tak to wygląda.

No tak to wygląda. Na panią Weronikę czeka już być może miejsce na liście Konfederacji Brauna lub innej formacji, której leży na sercu życie poczęte oraz intratne miejsca w europarlamentcie.

MATT KOBOSKO

Ostatni przystanek

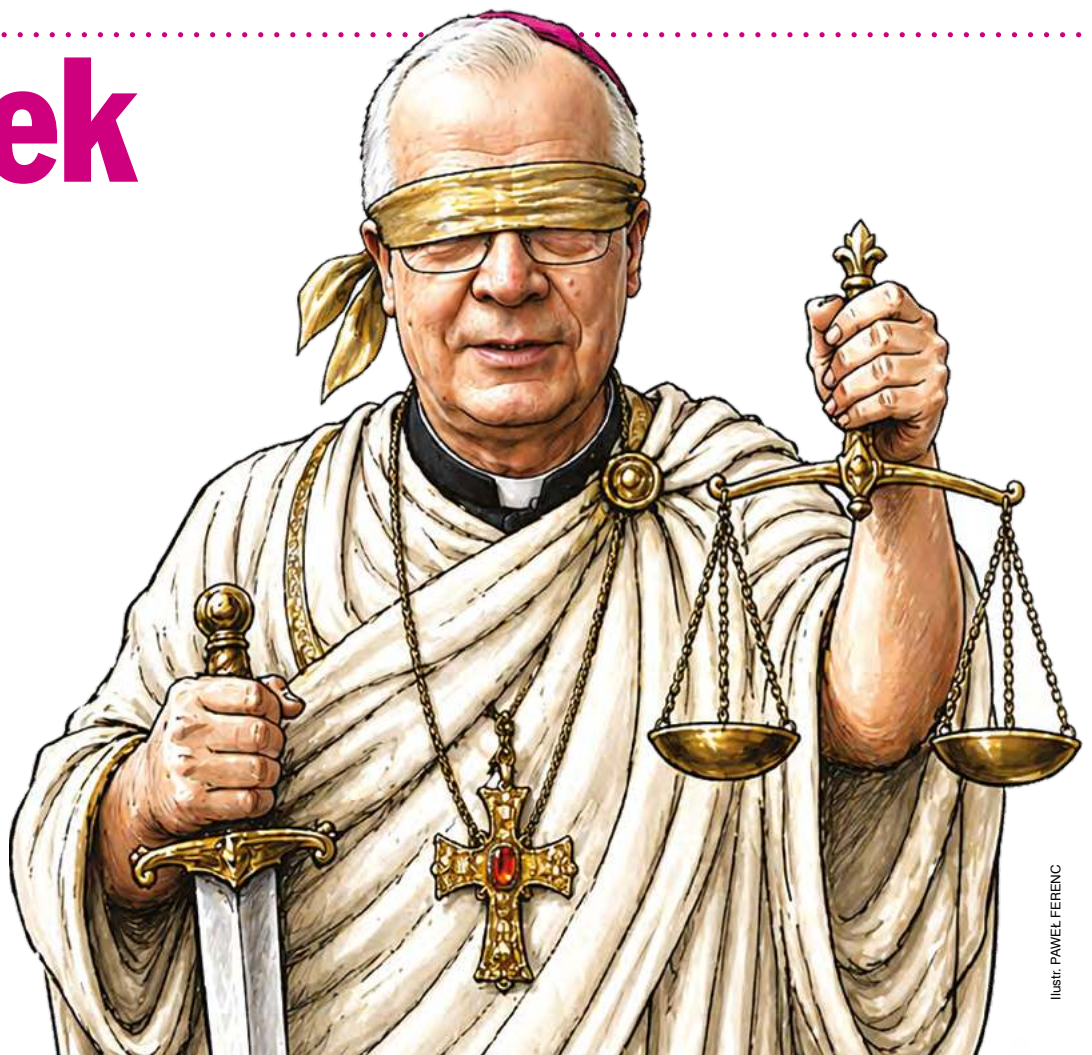
Umarł Józef, co się psom nie kłaniał

O zmarłych tylko dobrze albo wcale. No dobrze. Zmarł abepe Józef Michalik, od dekady emeryt, ale wcześniej postać trzęsąca polskim Kościołem kat. Choć może trzęsąca to za dużo powiedziane – raczej trzęsąca się przed JP2, zabiegająca tylko o jego względy. Ow niegdysiejszy metropolita przemyski i przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski to jedna z ostatnich znaczących postaci z wojtyłowego zaciągu, czyli biernych, miernych, ale wiernych.

Dopiero co go wspominaliśmy na tych łamach przy okazji 25-lecia ujawnienia molestowania dziewczynki przez proboszcza z Tyławy („Ciumki wiecznie żywe”, „NIE” 11/2026), a już przychodzi się żegnać. W sprawie ks. Michała M. abepe Michalik nie odegrał pozytywnej roli, podobnie jak (wówczas prokurator) Stanisław Piotrowicz. Michalik, choć wierzący, nie wierzył ofiarom swojego podwładnego, a występującą w ich imieniu Lucynę Krawiecką potraktował z buta. Styl miał wielkopański. Nieboszczyk karierę zaczynał w Watykanie, i to zanim wprowadził się tam nasz dużo bardziej znany rodak. Był rektorem Papieskiego Kolegium Polskiego w Rzymie, a więc sprowadzał

rokujący narybek z Polski do centrali Kościoła kat. Jego chowu jest wielu dzisiejszych biskupów i wpływowych klechów, zatem duch Michalika przetrwał, choć jego samego nie stało. Widać tego ducha we wspomnieniach w portalach społecznościowych. Jak każdego znanego trupa, teraz to każdy go znał i zapamiętał jako człowieka ciepłego, skromnego i przyjaznego. Myślałby kto...

Inne zdanie miały ofiary proboszcza z Tyławy, a także pewien policjant z sekcji ruchu drogowego w Ustrzykach Dolnych. Był rok 2009. Sprawę jako pierwszy nagłośnił tygodnik „NIE” w tekście Anny Skibniewskiej „Mściwy książę Kościoła” („NIE”, nr 31/2009). Czytamy w nim: „Policjant nadział się na szosie na przewodniczącego episkopatu Polski arcybiskupa Józefa Michalika. To gorsze, niż gdyby przejechał go samochód. Sierżant Paweł S. Harcerz. Kolekcjoner. Idealista. Były policjant. Obecnie aresztant. W sierpniu zeszłego roku Paweł S., policjant drogowy w Ustrzykach Dolnych, zatrzymał samochód. Kierował nim watykański ksiądz Stival Cianciarelli. Jadąc na wycieczkę po Bieszczadach, nie zapalił świateł i przekroczył prędkość o przeszło 30 km/h. Sierżant postanowił wlepić mu



Po owocach ich poznać

Pozamiatanie po poprzedniku zajęło nowemu papieżowi ledwie kilka miesięcy

Gdy 13 marca 2013 r. mianowany papieżem kardynał Bergoglio pojawił się na balkonie Bazyliki św. Piotra, świat zobaczył nie tyle głowę Kościoła, ile gotowy produkt medialny – słowa o ubogich, teatralne „dobry wieczór” i brak czerwonej pelerynki, który natychmiast ogłoszono symbolem rewolucji. Media oszalały z zachwyty, choć każdy, kto miał odrobiny pamięci, wiedział, że podobne ruchy wykonywali jego poprzednicy. Tyle że oni nie robili ideologii z tego, z czego Bergoglio zrobił. Problem w tym, że za tą ideologią nie poszły decyzje. Kuria, którą papież Franciszek miał „oczyścić”, pozostała taka, jaka była. Watykańskie układy nie zniknęły, a „wojna z mafiami” skończyła się na słowach, które dobrze wyglądały w nagłówkach. Problem polegał na tym, że była to rewolucja wyłącznie w obszarze kostiumu. Franciszek zdjął mucet, założył czarne buty, zamienił apartamenty na Dom św. Marty i w ten sposób stworzył narrację, która przez lata miała zastępować rzeczywistość.

Nikt wam tyle nie obieca

12 lat później na tym samym balkonie stanął jako Leon XIV kardynał Prevost. I zrobił coś, co dla mediów było niemal prowokacją: założył tradycyjną czerwoną stulę, że papież to zwykły ksiądz. Nie starał się przekonać świata, że zmiana koloru butów jest wydarzeniem historycznym. Zamiast spektaklu był komunikat – instytucja trwa i nie zamierza się przebierać, żeby przypodobać się widzowi. Prevost nie zaczął od spektaklu, ale od przeczytanego z kartki przemówienia, które nie było porywem chwili, tylko świadomie skonstruowanym komunikatem. I choć dla mediów było to mniej atrakcyjne niż spontaniczne bon moty Franciszka, to dla instytucji, którą kieruje papież, przekaz miał znaczenie fundamentalne. Kościół nie potrzebuje showmana, ale kogoś, kto wie, co mówi i dlaczego to mówi.

Bergoglio przez lata grał rolę papieża skromności. Rezygnacja z apartamentów apostolskich została sprzedana jako dowód pokory, choć w praktyce oznaczała przeniesienie się do przestronnego, chronionego kompleksu Domu św. Marty, gdzie do dyspozycji miał dwa duże pokoje i gabinet. W pałacu apostolskim dalej funkcjonowała cała administracja, a skromność była starannie zarządzonym wizerunkiem. Leon XIV nie robi z tego teatru. Korzysta z rezydencji papieskich, wraca do Castel Gandolfo, gdzie spędza wakacje, przywracając tradycję przebraną przez poprzednika. Nie ogłasza tego jako przełomu, uznając, że papież nie musi udawać pielgrzyma z plecakiem, by być wiarygodnym.

Franciszek przez lata mówił o ubóstwie Kościoła, jednocześnie nie podejmując realnej reformy jego struktury. Liturgia była u niego uproszczona, często pozbawiona dawnego ceremoniału, co miało symbolizować bliskość z wiernymi. Leon XIV idzie w przeciwnym kierunku. Przywraca chorał gregoriański, nakazuje śpiewanie „Pater Noster” po łacinie, wraca do antyfon „Regina Coeli” i „Salve Regina” w tradycyjnej formie. Osobiście nakłada palisze metropolitom, bierze udział w zaprzysię-

niu Gwardii Szwajcarskiej, przywracając jej ceremonialną rangę.

Franciszek w tym czasie prowadził „wojnę na słowa”. Synody, które miały zmienić Kościół, kończyły się dokumentami pełnymi okrągłych pustych zdań. Homoseksualiści mieli być „dziećmi Boga”, ale doktryna pozostawała niezmieniona. Rozwodnicy mieli wrócić do sakramentów, ale w praktyce dostali uproszczoną procedurę stwierdzenia nieważności małżeństwa, która sprowadzała się do skrócenia procesu z trzech lat do kilku miesięcy. Kobiety były „fundamentem Kościoła”, ale nie otrzymały żadnej nowej roli. Wszystko było obietnicą bez pokrycia.

Odlajkowanie

Prevost nie składa takich zapowiedzi. Jego stanowisko jest jasne i nie zmienia się w zależności od audytoryum. Sprzeciw wobec aborcji, eutanazji, „ideologii gender” czy święteń kobiet nie jest opakowany w język „rozumienia dla różnych wrażliwości” – jest komunikatem. Można się z nim nie zgadzać, ale przynajmniej wiadomo, na czym się stoi. I to jest zasadnicza różnica, bo Franciszek chciał być lubiany, a Leon XIV nie sprawia wrażenia, jakby go to specjalnie interesowało.

Prevost od początku wojnę rosyjsko-ukraińską nazywał „prawdziwą inwazją o charakterze imperialnym”. Bergoglio przez lata lawirował między Moskwą a Kijowem, próbując mówić o pokoju tak, by nie wskazać agresora.

Jeszcze bardziej widoczne jest to w relacjach politycznych: konflikt z Trumpem nie jest medialnym epizodem, lecz konsekwencją wcześniejszych poglądów Prevosta, który jako kardynał krytykował politykę migracyjną administracji amerykańskiej. Franciszek w podobnych sytuacjach potrafił mówić jedno na konferencji prasowej, a drugie w rozmowach zamkniętych. Leon XIV nie prowadzi podwójnej gry – jeśli wchodzi w spór, robi to otwarcie.

Największa różnica dotyczy jednak władzy. Franciszek przez kilkanaście lat pontyfikatu nie zrobił z niej użytku. Kanon 331 daje papieżowi możliwość kształtowania całego Kościoła. Mógł wymienić episkopat, przeprowadzić reformy, wymusić zmiany, lecz tego nie zrobił. Pozwolił, by Kościół w Niemczech, Polsce czy Ameryce Południowej funkcjonował według własnych zasad, nawet jeśli były one sprzeczne z papieskimi deklaracjami. W Polsce najlepszym przykładem była kariera abp Marka Jędraszewskiego, która wszak nijak nie pasowała do narracji o Kościele otwartym.

Jeśli ktoś chce ocenić pontyfikat Bergoglio po owocach, to liczby są bezlitosne: w Polsce odsetek deklarujących przynależność do Kościoła spadł z 88,8 proc. w 2011 r. do 71,3 proc. w 2021. Ponad 7 mln osób przestało się identyfikować z katolicyzmem. Globalnie mówi się o spadku liczby wiernych o dziesiątki milionów, choć Watykan broni się statystyką chrztów. Tyle że chrzest nie oznacza wiary, a jedynie wpis do rejestru. Spadek deklarowanej religijności, odpływ wiernych, rosnąca konkurencja ze strony protestantów – to nie są abstrakcyjne procesy. To konkret. Jeśli po 12 latach pontyfikatu jedy-

mówił o arcybiskupie i interwencji w tej sprawie komendy wojewódzkiej z Rzeszowa. Wtedy do akcji wkroczyło biuro spraw wewnętrznych komendy wojewódzkiej policji. Już niespełna miesiąc później P.S. został aresztowany. Tym razem otrzymał poważniejsze zarzuty. Nielegalne posiadanie broni, jej przetwarzanie i handel nią. Prokurator A.S. zarzuciła mu, nie podając żadnych istotnych przedmiotowo szczegółów, iż handlował bronią. W wyniku przesłuchania domu sierżanta zabezpieczono dwa telefony komórkowe i nie znaleziono żadnej broni”. Poseł dopytywał retorycznie, „czy przedstawiciele Kościoła Katolickiego obowiązują inne reguły prawne w przypadku, kiedy złamią prawo”.

Nie rymuje się to zbyt dobrze z wspominkowymi laurkami dla zmarłego, opisywanego jako dusza człowiek, wspaniały kompan biesiad, a przy tym pokorny sługa boży. Choć trzeba przyznać, że wspomnienie Tomasza Terlikowskiego nieco rozbawiło. „U siebie, w Przemyslu, był uroczym gospodarzem, sympatycznym rozmówcą, człowiekiem, który pokazywał mi i naszej rodzinie uroczą zakątki Podkarpacia i pięknie o nich opowiadał. I chyba nigdy nie zapomnę, jak obserwując, jak nasze dzieci biegają i robią masę hałasu wokół biskupiego stołu, zawołał kurialistów i oznajmił: »patrzcie i umacniajcie się w celibacie«” – pisze odsądzany dziś od czci i wiary przez dawnych kolegów redaktor. No i tyle o Michałiku znalazło się dobrego. Dobrze i to. Bo o zmarłych trzeba dobrze...

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com



nym sukcesem Bergoglio były dobrze prowadzone media społecznościowe i sympatia ateistów, to trudno mówić o czymkolwiek innym niż porażka. Wszak „po owocach ich poznać” – a te owoce były nad wyraz skromne.

Bezimienni tyrani

Nieprzypadkowy był też wybór imienia, bo Leon XIV to deklaracja. Wszak Leon XIII był papieżem, który w czasach rewolucji przemysłowej uznał, że Kościół nie może udawać, iż robotnicy nie istnieją. Prevost uważa, że dziś odpowiednikiem tamtej rewolucji jest świat technologii, globalnych nierówności i sztucznej inteligencji. Ale o ile Leon XIII pisał encykliki, które zmieniały myślenie o pracy, o tyle Leon XIV podpisuje dokumenty, których znaczenie jest żadne. Jego pierwsza adhortacja „Dilexi te” została przyjęta z ledwie zacięciem, ale trudno uznać, by wywołała wstrząs porównywalny z „Rerum novarum”.

Znacznie więcej emocji wzbudziło to, co papież mówił w oficjalnych wystąpieniach. Kiedy stwierdził, że „garstka tyranów niszczy świat”, mówił jak

ktos, kto wie, że wojny nie zaczynają się same. I że nie są wynikiem abstrakcyjnych procesów, tylko decyzji konkretnych ludzi. Problem w tym, że nie wskazał ich z nazwiska. A bez tego każda taka diagnoza pozostaje efektywna, ale bezpieczna.

Franciszek był papieżem, który doskonale sprzedawał się w mediach społecznościowych. Jego konta na platformach cyfrowych były traktowane jako dowód „otwarcia Kościoła”. Leon XIV nie buduje swojej pozycji na Instagramie. Nie potrzebuje lajków, by funkcjonować.

Ostatecznie jednak różnica między nimi sprowadza się do rzeczy najprostszej. Franciszek mówił o zmianie i jej nie przeprowadził.

Leon XIV nie mówi o rewolucji, ale wprowadza konkret. Przywraca ceremoniał, porządkuje liturgię, zastępuje Jędraszewskiego Rysiem, jasno określa stanowiska i nie udaje, że można jednocześnie zadowolić wszystkich.

Wnioski z tego zestawienia są dla Bergoglio bezlitosne: jeśli papież przez 12 lat potrafił jedynie zmienić kolor butów, miejsce zamieszkania i ton wypowiedzi, a świat wokół niego się rozpada, to trudno uznać to za sukces. Jeśli zaś jego następca w ciągu roku pokazuje, że Kościół może działać bez udawania, to cała wcześniejsza „rewolucja” okazuje się jedynie robionym pod publiczny spektaklem. I właśnie dlatego pontyfikat Prevosta może jeszcze przyprawić o ból głowy każdego, dla kogo katolicyzm powinien być czymś, o czym czyta się tylko w książkach historycznych.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Do Sądu Rejonowego w Białymstoku trafił akt oskarżenia dotyczący księdza z jednej z podbiałostockiej parafii, któremu śledczy zarzucają m.in. złamanie zakazu prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych. Sprawa wyszła na jaw, gdy klecha przyjechał zatankować furę i nie zapłacił za paliwo. O akcie oskarżenia pod koniec kwietnia poinformowała Prokuratura Rejonowa w Białymstoku, która prowadziła śledztwo w tej sprawie. Duchowny w połowie stycznia przyjechał na stację paliw w Choroszczy k. Białegostoku. Zrobił zakupy, za które zapłacił, ale odjechał, nie uregulowawszy należności za paliwo. Na podstawie monitoringu ustalono, kto był kierowcą. Okazało się, że to 40-letni ksiądz z orzecznym przez sąd zakazem prowadzenia pojazdów oraz cofniętymi uprawnieniami do kierowania pojazdami kategorii B. Karany sądowo był dwukrotnie – za kierowanie autem w stanie nietrzeźwości i niezastosowanie się do zakazu kierowania pojazdami. Za świeże złamanie zakazu grozi mu pięć lat pierdła.

✚ Archidiecezja łódzka ostrzega przed fałszywymi dokumentami chrztu i bierzmowania. Nieznani

sprawcy wystawiają fikcyjne dokumenty takie jak „Świadectwo Rodzica Chrzestnego” oraz „Sakrament Bierzmowania”, zaopatrzone w pieczęcie nieistniejących parafii pw. Matki Boskiej Saletyńskiej w Łodzi oraz Świętego Mikołaja w Warszawie. Imiona i nazwiska podpisanych na glejtach księży są również fałszywe. Kuria zastrzega, że tego typu dokumenty nie mają żadnej mocy prawnej i nie zostaną zaakceptowane w parafiach. Nie wiemy, ile kosztuje usługa, ale faktycznie szkoda kasy. Lepiej olać Kościół i wydać na piwo albo kebaba.

✚ Daniel „brudna pała” Obajtek skarżył się na X, że Parlament Europejski odebrał mu immunitet, bo odważył się bronić uczuć religijnych i Jana Pawła II, kiedy zdecydował o wycofaniu jednego numeru tygodnika „NIE”, gdy był prezesem Orleanu. „Warto podkreślić, że Orlean jako firma obsługująca miliony klientów musi brać pod uwagę ich wrażliwość. Zgodnie z art. 196 kk każdy, kto obraża uczucia religijne, podlega grzywnie, ograniczeniu lub pozbawieniu wolności. Ale w Polsce Tuska odpowiedzialność ponoszą ja, nie wydawca obrazoburczego tygodnika” – napisał Obajtek. Serdeczne Bóg zapłać za darmową reklamę.



KLECHA

Rys. MIROSLAW HAJNOS

Jak nieboszczyk z woja zdezerterował

Nietypowe wspomnienie
Marszałka w stulecie zamachu
majowego

Co przedstawia ostatnie zdjęcie Józefa Piłsudskiego z 21 marca 1935 r.? Czy utrwalaony jest tu moment aresztowania Marszałka, podejrzanego o zabójstwo generała Zagórskiego, przez trzech tajników w policyjnych melonikach? W żadnym razie! „Tajniak” pierwszy z prawej to minister komunikacji Michał Butkiewicz, który na Dworcu Wileńskim, zwanym wcześniej Petersburgim, wita schorowanego i wyłknięonego naczelnika państwa polskiego powracającego z Wilna.



mi trafił do więzienia po raz pierwszy. Zwolniony przez sąd z powodu bezzasadności oskarżenia, po przewrocie majowym – kiedy Piłsudski całkowicie zapanował nad sądownictwem i w ogóle nad biegiem spraw państwowych – generał Rozwadowski trafił do więzienia po raz drugi i już z niego nie wyszedł. Najprawdopodobniej – jak przypuszcza wielu historyków – został otruty, lecz przecież mogło być i tak, że schorowany zmarł całkiem zwyczajnie z powodu niedostatecznej opieki medycznej. W każdym razie – wraz ze śmiercią gen. Rozwadowskiego zniknęły wszelkie przeszkody na drodze do „przebóstwienia” Józefa Piłsudskiego już nie tylko jako wskrzesiciela Niepodległej Polski w roku 1918 i zbawcy Polski i Europy w roku 1920, lecz również Ojca Narodu i sprawcy sanacji, czyli dobrej zmiany.

Tymi samymi schodami, także po powrocie z Wilna, 6 czerwca 1927 r. do belwedeńskiej limuzyny Cadillac nr 24 rześkim krokiem schodził generał Włodzimierz Zagórski. Potem nikt go już nigdzie nie widział; zniknął tak doskonale, że nie wiadomo nawet, gdzie się, biedaczysko, pochował.

Kiedy dobrze zastrzonym ołówkiem Koh-I-Noor uwięziony w wileńskim Wojskowym Więzieniu Śledczym nr III Zagórski kreślił portrety wszystkich tych gnojników i szubrawców, z którymi zetknął się na swojej drodze w czasach burzliwych, i gdy na papierze listowym cotton rozprawał się ze swoimi wrogami – uwięziony generał odczuwał prawdziwą rozkosz, bo zdawał sobie sprawę, że słowem pisanym sieka wszystkich wrogów boleśniej, niż gdyby w pojedynku ciął ich ostrzem szabli. Z 10 oficerskich pojedynków „na śmierć i życie” aresztant gnijący w wileńskich lochach wyszedł bez szwanku, ale pojedynek na słowa z marszałkiem Piłsudskim przypłacił życiem.

Kłopotliwy generał

Piłsudski miał co najmniej trzy powody, żeby usunąć Zagórskiego z tego świata. Powód bardzo ludzki – panowie, obaj tak bardzo zasłużeni dla historii wojska polskiego, oboje się nienawidzili. Zagórski, generał po dwu solidnych akademiach wojskowych, porozumiewający się w sześciu językach, traktował marszałka pogardliwie, jak cywilnego uzurpatora bez znajomości rzemiosła wojennego.

Drugi powód do unicestwienia Zagórskiego był taki, iż jako kapitan austriackiego wywiadu wojskowego w Wydziale IV Sztabu Generalnego posiadał on kompromitującą wiedzę o zaangażowaniu Piłsudskiego w pracę agenturalną – najpierw dla wywiadu japońskiego, a później w szpiegowanie Rosji na użytek wojsk cesarsko-królewskich. Możliwe nawet, że Zagórski zachował pokwitowania wypłaconych sum. Nie udało się ich jednak odnaleźć podczas bezprawnej rewizji w jego mieszkaniu. Te kwity generał Zagórski całkiem słusznie traktował jak polisę ubezpieczeniową na własne życie.

I wreszcie powód trzeci: Zagórski był świadkiem osobistej klęski Piłsudskiego, kiedy to naczelnik Rzeczypospolitej na dwa dni przed Bitwą Warszawską, przekonany o niechybnym całkowitym zwycięstwie bolszewików, złożył wszystkie swoje urzędy na ręce premiera Wincentego Witosza i wyjechał na leże letnie do swojej kochanki. O słynnym zwycięstwie wojsk polskich rozstrzygnął korzystny zbieg okoliczności i rozkaz „ataku nad Wieprza” podpisany przez generała Rozwadowskiego bez kontrasygnaty głównodowodzącego Piłsudskiego, który w decydującej fazie Bitwy nad Wisłą po prostu był nieobecny. Ku zdumieniu tak polskich, jak i sowieckich dowódców atak powiedział się, w następstwie czego Sowietom musieli odtrąbić sromotny odwrót spod Warszawy. Na wieść o polskim zwycięstwie, Piłsudski szybko powrócił do armii i już 16 sierpnia dołączył do pościgu za umykającym wrogiem.

Jedno tylko było polskie zwycięstwo nad Rosją Sowiecką, więc polskich triumfatorów nie mogło być dwóch! Z poręki Naczelnika Państwa nadzwyczaj dla Rzeczypospolitej zasłużony generał Tadeusz Rozwadowski, rzeczywisty zwycięzca w Bitwie Warszawskiej, pod fałszywymi zarzutami

nie z powodu niedostatecznej opieki medycznej. W każdym razie – wraz ze śmiercią gen. Rozwadowskiego zniknęły wszelkie przeszkody na drodze do „przebóstwienia” Józefa Piłsudskiego już nie tylko jako wskrzesiciela Niepodległej Polski w roku 1918 i zbawcy Polski i Europy w roku 1920, lecz również Ojca Narodu i sprawcy sanacji, czyli dobrej zmiany.

Z Zagórskim było gorzej, bo nawet jego śmierć nie gwarantowała utrzymania w tajemnicy agenturalnej przeszłości Józefa Piłsudskiego – nikt nie wiedział, gdzie generał ukrył kompromitujące Marszałka dokumenty i jakie wydał dyspozycje na okoliczność własnej nagłej śmierci. Z Zagórskim odpowiednio podgrillowanym przez 15-miesięczne odosobnienie w wileńskim więzieniu, gdzie był traktowany gorzej od więźniów niższych szarż, należało zatem podjąć sekretne pertraktacje.

Co było dalej?

Tajemnica Messalki

Wersja oficjalna: jak zeznał w śledztwie towarzysząc Zagórskiemu kpt. Miładowski, obydwaj oficerowie wsiedli do limuzyny przysłanej po generała z Belwederu. Jednak – powiadomiony o wcześniejszym wyjeździe Piłsudskiego na uroczystości rocznicowe wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej (Zagórski zdezerterował dokładnie w dniu rocznicowym, przypadającym na 6 sierpnia!) – Miładowski zdecydował się odwiedzić generała do warszawskiego domu jego siostry.

Według wersji podanej w śledztwie przez Miładowskiego generał Zagórski kazał po drodze zatrzymać samochód przed łaźnią. Pod Messalką na Nowym Świecie, gdyż czuł się brudny. Wszedł do łaźni i wszelki ślad po nim zaginął.

Och, zapomnieliśmy o drobnym szczególe. Generał miał ze sobą walizeczkę. Miładowski twierdził, że oddał ją do dworcowej przechowalni. Wszyscy w Polsce wiedzieli, że w więzieniu Zagórski skraçał sobie czas odosobnienia spisywaniem wspomnień. Rękopis znajdował się w walizeczce.

Wytrawny dochodzeniowiec prokuratury wojskowej major Daniec ustalił, że żadna walizeczka do przechowalni nie była oddana. Natomiast posterunkowy, który miał służbę patrolową przed Dworcem Wileńskim, zeznał, że w chwilę po odjeździe wielkiej limuzyny belwedeńskiej zjechała druga, nieco mniejsza, z znakami Belwederu lub Zamku Królewskiego, do której oficer z dystynkcjami porucznika wrzucił walizeczkę i zasiadł



obok szofera. Auto odjechało w stronę mostu Kierbedzia.

To teraz wersja alternatywna.

Imaginujmy sobie, że Cadillac nr 24 zgodnie z planem dowiózł generała do Belwederu, gdzie miał zameldować się u Piłsudskiego. I że zgodnie z planem Piłsudski nigdzie przedwcześnie nie odjechał, lecz przyjął Zagórskiego w swoim gabinecie. Imaginujmy też sobie, że marszałek złożył propozycję nie do odrzucenia, a jednak generał wzgardliwie ją odrzucił. Znany z wybuchów wściekłości gospodarz potraktował gościa mocnym słowem, a ten ze swej strony nie pozostał dłużny gospodarzowi. Zagórski to był chojrak, który wyszedł cało z 10 oficerskich pojedynków „na śmierć i życie”! Łatwo do pokonania i do przekonania nie był. Od słowa do słowa negocjacje dwu dżentelmenów zamieniły się w ordynarną pyskówkę.

Może, słysząc odgłosy awantury, adiutant Marszałka wpadł do gabinetu i fałszywie ocenił sytuację – uznał, że życie Marszałka jest zagrożone – toteż generała zastrzelił? Może strzał padł nieumyślnie, w szamotaninie? Wprawdzie strzał taki byłby słyszalny także w garażach, pomieszczeniach służby cywilnej i nawet na wartowni – tymczasem nikt ze służby o wystrzale nie wspominał, a przesłuchani byli wszyscy – ale była to jednak wersja łatwiejsza do obrony niż kuriozalna historia o dezercji via Messalka.

Gdyby generał Zagórski poniósł śmierć na skutek strzału niesłyszalnego dla służby pałacowej, czy to podczas próby „ucieczki”, czy to w razie „napaści” na Marszałka, nie byłoby potrzeby budowania piramidy kłamstw i fałszowania do-

kumentów. Wystarczyłoby proste matczenie na wzór i podobieństwo sprawców „samobójstwa świętej pamięci Barbary Blidy”, które wydarzyło się kilkadziesiąt lat później.

Wersja o dezercji wymagała antydatowania – czyli sfalszowania – nakazu sądu wojskowego o natychmiastowym zwolnieniu generała Zagórskiego z więzienia śledczego w Wilnie. Wszak tylko wolny człowiek może oddalić się w niewiadomym kierunku i nigdy już nie pokazać się nikomu na oczy. Gdyby kapitan Miładowski na rozkaz pułkownika Prystora konwojował więźnia z Wilna do Warszawy, byłby odpowiedzialny za niewykonanie rozkazu doprowadzenia aresztanta przed oblicze Marszałka. Dla dobra sprawy Miładowski dał się więc przekonać, że nie konwojował więźnia, lecz tylko towarzyszył generałowi w podróży!

Zaprzecza temu wszakże fakt niepodważalny, potwierdzony stemplem pocztowym: naczelnik Wojskowego Więzienia Śledczego nr III w Wilnie sądowy nakaz zwolnienia aresztanta Włodzimierza Zagórskiego otrzymał dwa dni po dezercji generała, w poniedziałek 8 sierpnia, co znalazło potwierdzenie w rejestrze pism przychodzących. Dokument sądowy nosił datę sobotnią 6 września 1927 r. Gdyby kapitan Miładowski jechał koleją do Wilna po to, żeby dyndnie honorowo asystować uwolnionemu generałowi w drodze do Belwederu, gdzie Zagórski w pełni praw obywatelskich miał się zameldować u Marszałka, dokument sądowy powinien nosić datę najpóźniej 4 sierpnia; sanacyjne pociągi były wprawdzie punktualne, ale powolne.

Krępiąca nieobecność zwłok

Dlaczego w takim razie w Belwederze oficerskie otoczenie marszałka Piłsudskiego, złożone wyłącznie z ludzi fanatycznie miłujących swojego dowódcę, nie próbowało sprostować prostego raportu o przypadkowym postrzale czy wręcz samobójstwie, wybrało zaś pokrętny wariant o dezercji, który wymagał zbudowania piramidy kłamstw łatwych do wychylenia przez średnio inteligentnych dochodzeniowców?

Albowiem zarówno wersja o samobójstwie, jak też wariant o incydentalnym postrzeleniu przez adiutanta na skutek działania podjętego w obronie zagrożonego życia Józefa Piłsudskiego, bezwzględnie wymagały pozostawienia denata na miejscu zbrodni. A tymczasem – cóż za fatalna okoliczność! – aresztant nawet i nikt do dziś nie wie, dokąd przemieściło się jego ciało.

Jeżeli jednak poczynimy teoretyczne założenie, że na zwłokach nie było śladu jednego postrzału, lecz ciągnąca się od szyi do pasa potężna rana cięta, zadana ostrym narzędziem – ciało generała musiało natychmiast zdezerterować z Belwederu, ponieważ w takim przypadku ze straszliwą oczywistością podejrzenie o spowodowanie śmierci Włodzimierza Zagórskiego spadało na ułańską szablę Marszałka z grawerunkiem „Bóg-Honor-Ojczyzna”. Podobnie wyglądałyby sprawy, gdyby w ciało generała Zagórskiego ktoś wpakował siedem kul, czyli cały magazynek wojskowego Browninga wyposażonego w tłumik.

Józef Piłsudski, co starannie ukrywano przed opinią publiczną, u schyłku życia popadał w szaleństwo i nachodziły go lęki paranoidalne. Ustawicznie podejrzewał swoje najbliższe otoczenie o spiskowanie i dybanie na jego życie.

Wszystkim gościom Marszałka w oczy rzuciła się szabla wisząca na rapciach przybitych do ściany. Z kolei premier Sławoj Składkowski, człowiek o złotym sercu i lekko osłabionym umyśle, wspominał, że podczas rozmowy z Marszałkiem nie mógł skupić się na ważnych sprawach państwowych, ponieważ myśl ciągle ulatywała mu w kierunku Browninga, ułożonego poręcznie na blacie biurka...

Marszałek nie planował zabójstwa, to oczywiście, ale przebieg negocjacji był tak niepomysłny, a generał zachowywał się tak prowokacyjnie, że prześladowany przez lęki paranoidalne Piłsudski nie wytrzymał ciśnienia chwili, w ataku furii chwycił rękęjęsz szablę... A może z użyciem tłumika wpakował siedem kul w pierś znenawidzonego generała.

Zbroczone krwią ciało generała Zagórskiego pośpiesznie wrzucono na tylne siedzenie limuzyny Cadillac nr 24, która, nie wiadomo jak, zniknęła z garażu w Belwederze na całe sześć dni. Pozostawione w panicznym pośpiechu ślady krwi na tapicerce były trudne do usunięcia, a suszenie auta po dokładnym myciu musiało potrwać...

Wkrótce po dezercji generała Zagórskiego kierowca limuzyny nr 24, szeregowiec Cymel, stał się właścicielem niewielkiej restauracji. Długo się nią nie nacieszył. Pewnego dnia przyszedł do knajpki czterech goście lekko już zawiiani, wywołali karczemną awanturę, która skończyła się strzelaniną. Belwedeński szofer zginął od przypadkowej kuli. Sprawcy zająścia czmychnęli, zanim przybyła policja.

Większość historyków zgadza się z tezą, że Marszałek zamordował generała per procura. Jako historyk języka polskiego mam prawo uznać, że zbrodni dokonali raczej własnoręcznie.

JAKUB KOPEĆ

Wyścig z promieniowaniem

40 lat temu doszło do katastrofy w Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej. Dobrze pamiętam tamten dzień i gdzie wówczas byłem.

26 kwietnia 1986 r. szykowałem się do obsługi kolarskiego wyścigu Gran Premio della Liberazione, cyklicznego kryterium ulicznego rozgrywanego w Rzymie od 1946 r. w każdą rocznicę wyzwolenia stolicy Włoch spod niemieckiej okupacji. W tamtych czasach był to wyścig dla amatorów, bo istniał dość sztuczny podział na zawodowców i amatorów, którzy tak naprawdę amatorami byli tylko z nazwy, bo ściganie się na rowerze było ich jedynym zajęciem, ale w dokumentach w rubryce „zawód” mieli wpisane coś innego. Nie chcę przez to powiedzieć, że wyścigi amatorów były gorsze albo mniej ciekawe. Po prostu były trochę inne.

Wyścig Gran Premio della Liberazione, na którym jako dziennikarz sportowy byłem już któryś raz z rzędu, rozgrywany jest do dziś ulicami Rzymu, wokół Term Karakalli. Sceneria bajeczna – zabytkowe ulice, zawsze słoneczna pogoda (nie pamiętam, by kiedykolwiek niebo się chmurzyło), a włoskie słońce sprawia, że wszystko staje się bardziej kolorowe.

Organizatorem wyścigu i jego dyrektorem był niejący już mój przyjaciel i cudowny człowiek Eugenio Bomboni. Redakcja za złotówki kupowała mi tylko samolotowy bilet powrotny do Rzymu, a później przechodził na dewizowe utrzymanie Eugenia i jego firmy. Sprawiało to, że podczas trwania imprezy czułem się, jakbym znalazł się w komunizmie, choć moja socjalistyczna ojczyzna, czyli PRL, znajdowała się dopiero na drodze do budowy tego ustroju.

Amerykańska ucieczka

Czy można się dziwić, że tego ranka, 26 kwietnia 1986 r., wyszedłem przed hotel, w którym zakwaterowani byli dziennikarze i większość ekip, w znakomitym humorze? Ale już w hotelowym holu panowało jakieś poruszenie. Zauważyłem, że ekipa USA w wielkim pośpiechu ładuje rowery na dach samochodu technicznego. Dokąd oni tak gnają? – zdziwiłem się w duchu. – Przecież do startu mamy jeszcze ładnych parę godzin.

Rozmowa z dziennikarzami z zachodnich mediów szybko wyjaśniła, że w ZSRR w elektrowni jądrowej w Czarnobylu doszło do eksplozji, są ofiary śmiertelne, a radioaktywna chmura zmierza nad Europę. Oczywiście szczegółów ani skali katastrofy nikt nie znał, agencja TASS w zagranicznym serwisie wydała tylko króciutki komunikat, że w elektrowni jądrowej „coś” się wydarzyło, natomiast w licznych krajach, zwłaszcza skandynawskich i w Finlandii, zanotowano podniesienie stanu radioaktywności i ogłoszono alarm.

Okazało się, że amerykańscy kolarze pędzą na lotnisko, by pierwszym możliwym lotem wrócić do kraju. Nic dziwnego. Każdy zastanawiał się, jak ratować się przed nieznany zagrożeniem. Włoskie radio podało, że skutecznym remedium może być płyn Lugola chroniący tarczycę przed radioaktywnym jodem. Wszyscy lokatorzy hotelu w takim samym pośpiechu, w jakim amerykańska ekipa pakowała swoje bagaże do wozów technicznych, ruszyli do

najbliższych aptek. Popędziłem i ja, po to – jak się okazało – żeby dowiedzieć się, że płyn Lugola został wykupiony we wszystkich rzymskich aptekach, być może jakiś zapas mógł znajdować się tylko w Watykanie. Szkoda, bo myślałem, że tym płynem uciśnię żonę, zwłaszcza że mieliśmy w domu małą córeczkę.

Wyścig odbył się normalnie, ruiny Term Karakalli stały na swoim miejscu, jak stały od wieków, wygrał – o ile pamiętam – jakiś holenderski kolarz, a ja musiałem myśleć o powrocie.

Czarnobylskie procedury

Gdy przyleciałem do Warszawy i rozdałem prezenty, zacząłem przeproszać, że nie udało mi się w Rzymie zdobyć magicznego płynu Lugola. Zona ze śmiechem powiedziała, że zarówno nasza córeczka Ewa, jak i wszystkie polskie dzieci dostały swoją dawkę zbawczego medykamentu. Kamień spadł mi z serca, ale nie do końca. 6 maja zaczął się kolarski Wyścig Pokoju, na który jak co roku zostałem wydelegowany, i jak raz zaczynał się w Kijowie. Nawet bez GPS, którego jeszcze nie było, wiedziałem, że to zaledwie 130 km od Czarnobyla. Jak by nie patrzeć, trochę bliżej niż Warszawa czy też Rzym, gdzie widziałem objawy paniki. Ciarki przeszły mi po plecach.

Przez moment ludełem się, że wyścig zostanie odwołany, ale nic z tych rzeczy. Lecieć do tego Kijowa czy odmówić wyjazdu? Zdawałem sobie sprawę, że w tej skomplikowanej sytuacji politycznej odmowa wiązałaby się z jakimiś konsekwencjami służbowymi. Byłbym gotowy je ponieść. W końcu postanowiłem jednak, że jeśli polecą nasi kolarze, ja też polecę.

Wcale niełatwo kolarze i ich kapitan Ryszard Szurkowski dali się namówić na udział w Wyścigu Pokoju. Prezes PZKol Zbigniew Rusin krążył między hotelem, w którym byli zakwaterowani, a władzami partyjno-politycznymi niczym wytrawny negocjator. Sytuacja była napięta, a rozmowy niejawne. Z tego, co wiem zza kulis, przeważał argument, że jeśli reprezentacja nie pojeździ do Kijowa, uda się tam drużyna Legii. Legia była wojskowym klubem, wszyscy jej kolarze oficjalnie zajmowali wojskowe posady i jako tacy nie mogliby odmówić wykonania rozkazu.

Dziś o katastrofie w Czarnobylu wiemy znacznie więcej, choć całej prawdy nie poznamy chyba nigdy. Nawet liczba ofiar śmiertelnych jest niejasna. Naukowcy z ONZ szacują ją na 124 osoby, które bezpośrednio zmarły podczas katastrofy lub tuż po niej. Ile osób zachorowało na skutek przyjęcia zbyt dużej dawki promieniowania – trudno oszacować.

Znana jest przyczyna katastrofy, którą było przeprowadzanie eksperymentu obniżania mocy jednego z bloków o 50 proc. Pracownicy poinformowani zostali o procedurach. W międzyczasie doszło jednak do awarii jednej z konwencjonalnych elektrowni i eksperyment przerwano. Wznowiono go, gdy konwencjonalna elektrownia zaczęła działać, ale w nowej sytuacji procedury okazały się tragiczne w skutkach.



ILUSTRACJA: PAVEŁ FERENC

Suchoj zakon odwołany

Niezwykle dramatyczna była akcja ratunkowa. Pierwszych jednostek straży pożarnej przybyłych na miejsce wybuchu nawet nie poinformowano, że gasić będą reaktor i nie wydano im odpowiedniego zabezpieczenia. Wielu z tych strażaków zmarło na chorobę popromienną.

Potężne śmigłowce wznosiły betonowy sarkofag, który przykrył miejsce awarii, a ich piloci to kolejni tragiczni bohaterowie tamtych wydarzeń. Sarkofag chroni miejsce awarii do dziś, choć nie tak dawno dowiedzieliśmy się, że rosyjski dron trafił w niego i go uszkodził. To wszystko budzi grozę.

Tuż po wybuchu byliśmy tego wszystkiego nieświadomi, choć i tak wiedzieliśmy dużo więcej niż mieszkańcy Kijowa. Polska była jedynym demoludem, jak nazywano kraje obozu socjalistycznego, w którym poinformowano mieszkańców o czarnobylskich wydarzeniach i podano mieszkańcom płyn Lugola. W Kijowie oczywiście rozchodziły się jakieś plotki. Jedna z nich głosiła, że alkohol ma być skutecznym lekarstwem, w związku z czym odwołany ma zostać *suchoj zakon* – częstocia, ale surowa prohibicja, wprowadzona przez Michaiła Gorbaczowa rok wcześniej. Przepisy te zresztą wywołały wśród mieszkańców ZSRR oburzenie i wymieniały się wśród przyczyn upadku mocarstwa.

Szeptana wieść o tym, że teraz będzie się można legalnie napić, wywołała radość. Już w drodze taksówką do hotelu opowiadał mi o tym kierowca, uśmiechając się i prezentując przy okazji imponujące złote zęby. Wypytywałem mnie o to, co nam powiedzieli o katastrofie, a gdy mu opowiadałem, co jakiś czas rzucał: „A to swołocz, nam nic nie mówili”...

Zamieszkaliśmy w wielkim i nowoczesnym jak na tamte czasy hotelu, w którym barek był oczywiście nieczynny, ale zabraliśmy ze sobą z domu spore zapasy ludowego medykamentu na chorobę popromienną. Wziąłem półlitrowkę i szedłem do holu. Spotkałem tam zastępcę redaktora naczelnego „Prawdy” z Moskwy, a więc faktycznie wysokiego promienia, którego kiedyś poznałem. Gdy zaproponowałem mu, żebyśmy sobie w holu dali po kielichu, po długich namowach się zgodził, ale niemal wszedł pod stół i trwonił rozglądał się dookoła, nim wziął łyk żytynówki. Takie to były dziwne z dzisiejszej perspektywy czasy.

Okazało się, że nie tylko mieszkańców Kijowa nie poinformowano o katastrofie, ale 1 maja odbył się tam tradycyjny pochód z udziałem dzieci, radośnie maszerujących z czerwonymi chustami zawiązanymi na szyjach. Nic nadzwyczajnego się nie dzieje, towarzysze!

Dopiero Wyścig Pokoju stał się pretekstem do poinformowania mieszkańców Kijowa o tragedii w niedalekim Czarnobylu, ale jednocześnie zapewnienia, że nie stało się nic groźnego, skoro 6 maja rusza wielka międzynarodowa impreza sportowa.

Niegroźna dawka

Że międzynarodowa – to prawda. Na start zapędzono ekipy z krajów socjalistycznych, w tym z Mongolii i Kuby. Jediną zachodnią drużyną była Francja, i to w niepełnym składzie. Rządowi Francji z jakiegoś powodu (już nie pamiętam z jakiego) zależało na dobrych stosunkach z ZSRR, miał także swoje atomowe plany. Czy trójkolorowych kolarzy przekupiono, czy zmuszono – nikt się tym nie chwalił, w każdym razie po pierwszym etapie zniknęli z peletonu. Zostało dziewięć ekip, trudno więc było mówić o wielkiej imprezie, a małeńki peleton wyglądał jak ucieczka podczas innych wyścigów.

Polscy kolarze nie błyszczeli. Na pretese trenera odpowiadali, że starają się jak najmniej oddychać, żeby do płuc wpadało jak najmniej pyłu. Upredźmy fakty: żaden z zawodników nie rozchorował się po imprezie i jeszcze przez wiele lat odnosił wspaniałe sukcesy, bo kolarzy mieliśmy wówczas znakomitych. Zławsza gdy oddychali pełną piersią.

Jak zachowywaliśmy się my, polscy dziennikarze, w Kijowie? Różnie. Ja należałem do dość licznej grupy, która doszła do wniosku, że skoro już tu jesteśmy, trzeba zachowywać się, jak gdyby nic się nie działo. Nie mogłem zmarować okazji i zwiedzać tam to piękne miasto. Podziwiałem przepiękny widok na Dniepr i oczywiście odwiedziłem Ławrę Peczerską, stary klasztor słynący

z rozlicznych cudów, i jego fascynujące groźne podziemia. Gdy słyszę w telewizji o rosyjskich rakietach i dronach uderzających w ukraińską stolicę, ogarnia mnie bezradna wściekłość.

Wieczorem zbieraliśmy się w jednym pokoju i leczyliśmy przyjęte dawki promieni żytniówką, bo liczyliśmy, iż będzie to miało lepszy skutek niż cuda z XI-wiecznej prawosławnej świątyni.

Janusz Zwan ze „Sztandaru Młodych” i jeszcze jeden kolega przyjęli zupełnie inną taktykę. Zamknęli się w hotelowym pokoju ze skrzynką butelkowanej wody mineralnej oraz wałówką przywiezioną z Polski i postanowili nie opuszczać go aż do wyjazdu. Sprawozdania do swoich gazet nadawali na podstawie telewizyjnej relacji, którą oglądali na miejscu. Maciek Biega ze „Sportowca” napisał na kartce po polsku i po rosyjsku „Ławra Peczerska, nie przeszkadzać mnichom!” i powiesił ją na drzwiach ich pokoju.

Andrzej Łozowski z „Rzeczpospolitej” był jedynym polskim dziennikarzem, który odmówił wyjazdu do Kijowa. Nie spotkały go za to nawet najmniejsze nieprzyjemności.

Niby nic się nie stało, ale po powrocie do kraju niepokój w sercu jakiś był. Zapakowałem do worka wszystkie ubrania, w których byłem w Kijowie, i moim Maluchem zawiiozłem do instytutu badań jądrowych w Świerku pod Warszawą. Poprosiłem o zbadanie tych rzeczy i określenie, jaką dawkę radioaktywnych promieni przyjął mój organizm. Początkowo chciano mnie zbyć, twierdząc, że co dostałem, to dostałem, i od szczegółów wiedzy nie będzie mi lepiej, ale w końcu dali się namówić.

Wetknęli licznik do worka, licznik trzeszczał, a im mocniej trzeszczał, tym bardziej ogarniał mnie strach. Na wielu sprawach się nie znam, ale na mierzeniu promieniowania najmniej. Diagnoza: aparatura wskazała, że byłem w Kijowie, ale dawka jest niegroźna dla organizmu. Buty i skarpetki radzili jednak wyrzucić, bo najwięcej radioaktywnego pyłu zbierało się na chodnikach. Opuściłem Świerk zadowolony, z ulgą na sercu, mimo że żał trochę było moich nowych sportowych butów, którymi nie tak dawno imponowałem radzieckim dziewczynom spoglądającym na nie z podziwem.

Jakoś we względnie zdrowiu udało mi się przeżyć do dziś, dopóki nie dopadła mnie polineuropatia nóg, bardzo utrudniająca poruszanie się. Czy może być ona opóźnionym skutkiem napromieniowania podczas etapów Wyścigu Pokoju rozgrywanych w Kijowie? Raczej nie. Lekarze, którym wierzę, wyjaśniają, że jest ona skutkiem cukrzycy, a cukrzyca efektem złego trybu życia i nieodpowiedniego żywienia.

Czytelnicy, dbajcie o siebie! Poruszanie się z chodzikiem to żadna przyjemność.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta

Autorzy:
Przemysław Cwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski,
Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech
Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej
Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:

Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:

www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięty:
str. 1–16 – 6.05.2026 r.

„NIE” w komórce



Papier się gniece.
Telefon nie.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Lista 10 postaci historycznych i fikcyjnych, które doskonale by uzupełniły skład powołanej przez prezydenta Karola Nawrockiego Rady Nowej Konstytucji:

Ramsay Bolton – grany przez Iwana Rheona niegodziwiec z serialu „Gra o tron”. Zaskoczył nowatorsko okrutnym podejściem do tortur. W skali amoralności od zera do stu – sto.

Alex Forrest – główna bohaterka filmu „Fatalne zauroczenie” w reżyserii Adriana Lyne’a. Czy jesteś kobietą, czy mężczyzną, nie chciał(a)byś jej spotkać w słabo oświetlonej ulicy. Chyba że nazywasz się Nawrocki albo przynajmniej Bogucki...

Mónica del Carmen Madariaga Gutiérrez – ministra edukacji publicznej, a także sprawiedliwości w gabinecie Augusta Pinocheta. Po obaleniu dyktatury mistrzowsko udawała, że nic nie wiedziała o zbrodniach i łotrostwach władzy dyktatorskiej. Tak mistrzowsko, że po powrocie demokracji została rektorką Uniwersytetu Andrésa Bello.

Heliogabal – rzymski cesarz panujący w latach 208–222. Miał podobny stosunek do sprawiedliwości i seksu – obie dziedziny uważał za zbyt konserwatywne i wymagające natychmiastowej reformy. Brutalnej jak sam Lucyfer czy inny Neron.

Nikołaj Jeżow – rosyjsko-litewski polityk radziecki żyjący w latach 1875–1940. Marszałek bezpieczeństwa, ludowy komisarz spraw wewnętrznych. Twórca jeżowszczyzny – na swój sposób unikalnej metody walki z wrogami ludu. Uważany za twórcę nieśmiertelnej prawdy: Niech żyją więźniowie! Z nieżywych nie ma żadnego pożytku.

Wilus E. Kojot – bohater kreskówki w cyklu „Zwariowane melodie”, antagonistą Strusia Pędziwiata. Niezłomny jak Marek Jurek, rozumny jak Ryszard Legutko. Pip-pip!

Lex Luthor – filmowy i komiksowy śmiertelny wróg Supermana. Mądry jak Ryszard Legutko, twardy jak Marek Jurek. I raczej niepodobny do Ozy’ego Osbourne’a podobnego do Barbary Piwnik.

Marie-Jeanne Nouganga – jedna z 17 żon władcy absolutnego Cesarstwa Środkowoafrykańskiego Jeana-Bédela Bokassy (1921–1996). Miała pojęcie o prawie konstytucyjnym mniej więcej takie, jakie ma Paweł Kukiz.

Mildred Ratched – pielęgniarka z „Lotu nad kukułczym gniazdem”, powieści Kena Keseya i filmu Miloša Formana. Sprawiedliwa jak Przylębska, prawa jak Romanowski, będąca jednak dowodem na to, że każda kosa trafi wreszcie na swego Nicholsona. Jacka Nicholsona.

Werres – żyjący w latach 115–43 p.n.e. rzymski namiestnik Sycylii. Był wynalazcą nowoczesnych wówczas metod rekwiizycji zboża i kradzieży dzieł sztuki, a wymiar sprawiedliwości traktował gorzej niż cesarz Kaligula i lepiej niż minister Ziobro.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

Korzystając z dobrodziejstwa podwójnego numeru, rozjechały się po świecie: **AGNIESZKA WÓŁK-ŁANIEWSKA** była w Brukseli i Londynie, a **JOANNA SENYSZYN** we Włoszech i w Łodzi.

Senyszyn: – I to były te nietypowe Włochy...

Wółk-Łaniewska: – A które Włochy są typowe?

– Jak Polacy słyszą „Włochy”, myślą Rzym, Watykan, Neapol, ewentualnie Toskania. A ja byłam od drugiej strony, nad Adriatykiem.

– Ja tam w ogóle nic nie myślę, dwa razy w życiu byłam we Włoszech, oba dzięki mojej ukochanej siostrze z wyboru: raz na Sycylii, a raz na nartach. Wiem, że „narty” to nie region, ale wyznam szczerze, że nie pamiętam gdzie... A ty pamiętasz?

– Nie pamiętam, bo od początku wiedziałam tylko, że mamy wyładować w Ankonie, skąd wynajętym autem zabrali nas przyjaciele, którzy całą wyprawę zorganizowali. To moi kochani sąsiedzi zza płotu: Magda i Adam. Mieliliśmy piękny apartament nad samym morzem, z wielkim tarasem i jacuzzi. A najważniejsze, że wbrew prognozązom były słońce i pogoda, pyszne jedzenie i *dolce far niente*. Nawet się opaliłam.

– Ja też. Na solarium poszłam na Rydygiera.

– Wolę moją metodę. A zaraz po powrocie pojechałam do Łodzi na spotkanie ze zwycięzcą tegorocznej aukcji WOŚP. Nie wiem, czy pamiętasz, że śniadanie ze mną zostało wylicytowane za ponad 6 tys. zł. Odkryło się w cudownej Rodzinnej Caffè&Bistro w słynnym łódzkim Kapeluszu Pana Anatola na Paderewskiego. Piękne miejsce, pyszne jedzenie, uroczy ludzie. Serdecznie polecam.

– A z kim to śniadanie jadłaś?

– Z Dobrym Przedszkolem.

– Słucham?

– Tak się nazywa: Dobre Przedszkole, działa w Bydgoszczy, w Toruniu i Grudziądzu. Na spotkanie ze mną przybyła czteroosobowa delegacja...

– Bez przedszkolaków, mam nadzieję.

– Bez, sami dorośli. Przemili, inteligentni, dowcipni, jakbym miała jakieś dzieci do dyspozycji, na pewno bym im powierzyła. Było wspaniale. Co tam przy tym twoja Bruksela...

– Ja wiem, że ty w Brukseli pomieszkiwałaś przez pięć lat, to dla ciebie żadna atrakcja. Dla mnie na pewno większa, bo byłam zaledwie kilka razy. A do tego urwałam się kolektywowi i pojechałam do Brugii, w której nie byłam nigdy wcześniej i która jest naprawdę piękna. Brendan Gleeson miał absolutną rację, że zabrał tam Colina Farrella w ostatnią podróż...

– Niebanalne skojarzenie. Rozwiń dla jasności.

– „Najpierw strzelaj, potem zwiedzaj”. To cudowny film, który po angielsku nazywa się po prostu „In Bruges” i opowiada o brugijskiej wycieczce dwóch płatnych irlandzkich morderców, z których starszy ma zastrzelić młodszego, bo młodszy miał zabić księdza, a przez pomyłkę zastrzelił bachora, co się u księdza spowiadał...

– Zawiłe.

– Owszem, trzeba zobaczyć, żeby zrozumieć. Polecam. W każdym razie tam właśnie pokazują Brugie i jest ona tak zjawiskowa, że koniecznie chciałam ją zobaczyć... Zjadłam mule, przepłynęłam łódką po kanałach, kupiłam magnes na lodówkę, i mam zaliczone.

– Tak ci się tylko wydaje. Większość ludzi pielgrzymuje do Brugii, i to od ponad 800 lat, żeby w Bazylice Świętej Krwi zobaczyć najcenniejszą relikwię chrześcijaństwa, za którą jest

uznawana rzekoma krew Chrystusa w kryształowej fiole. Ty, jako niewierna, nie widziałaś, ale czy choć masz świadomość, co pominęłaś?

– Szczerze? Nie. Ja miałam swoje własne spotkanie z absolutem. Poznałam osobiście Jeremy’ego Corbyna, który jest moim absolutnym politycznym idolem...

– A ja myślałam, że to ja jestem twoją polityczną idolką!

– Yyyyy... No, ty idolką, a Jeremy idolem.

– Widzisz, jak się feminitywy przydają!

– Prawda. Corbyn był na parlamentarnej konferencji związanej z Flotyllą Sumud i jest dokładnie tak czarujący, uroczy i bezpretensjonalny, jak wiedziałam, że będzie. Poza tym, że jest mądry, ideowy i odważny, ale to oczywiste i bez osobistego spotkania. W każ-

dym razie konferencja była znakomita – piszę o niej w tym numerze – i jeszcze miałam czas na Brugie. A zaraz po powrocie z Brukseli poleciałam na weekend majowy do Londynu, już bez żadnej politycznej nadbudowy...

– Ty? Na pierwszego maja? Bez politycznej nadbudowy?

– Chciałam iść na jakiś pochód, ale żaden mi się nie trafił.

– Trzeba było zapytać Corbyna.

– A żebyś wiedziała, że zapytałam. I powiedział, że Your Party w tym roku nie robi pochodu, bo ma spotkania przed czwartkowymi wyborami lokalnymi. A że to ich pierwsze wybory, na nich się skupiają...

– Zawsze to mądrzejszy tekst, niż wymyślił czarzaści. Odwołując pierwszomajowe obchody we wszystkich, że po śmierci Łukasza Litewki: „nikt z nas nie będzie potrafił świętować”. A może się martwić, kto za półtora roku wciąż nie marszałka do sejmiku? Przecież gdyby w 2023 r. Litewka nie dostał ponad 40 tys. głosów, startując z ostatniego miejsca, Czarzasty ze swoimi 22 tys. nie załapałby się na mandat.

– Za to teraz by wszedł, bo u nas w sejmie jak we francuskiej monarchii: *Le roi est mort, vive le roi!* Wracając wszakże do moich wojaży, muszę ci jeszcze coś opowiedzieć...

– Skoro musisz.

– Byłam na koncercie Thomasa Benjamina Wilda!

– No gratuluję. A kto to?

– Taki cudowny wielki facet ze potężną brodą i wiktoriańską elegancją, który gra na maleńkim ukulele. I śpiewa własne ballady. Genialne i bardzo polityczne.

– To jednak była jakaś polityczna nadbudowa.

– W sumie tak. Przykład: „Umieścimy króla w miłym małym mieszkanku, kiedy obalimy monarchię. Możemy nawet darować mu pierwszy miesiąc czynszu”. Albo: „Jeśli jesteś rasistą, mizoginem lub homofobem, to jesteś totalną cipą”... Po angielsku brzmi to o niebo lepiej, serdecznie polecam posłuchać. A potem poszłam na wymarzoną wycieczkę po Whitechapel śladami Kuby Rozpruwacza.

– Dziwne masz marzenia...

– Zawsze lubiłam się relaksować przy historiach o seryjnych mordercach. W każdym razie uroczy skądinąd przewodnik zapytał na wstępie, kto co wie o Kubie, więc ja się rzuciłam od razu, że ostatnio badanie DNA wykazało, że był to polski emigrant Aaron Koźmiński. A on mi na to, że niby tak, ale łańcuch dowodowy nie został zachowany i w ogóle nie wiadomo, czy ta chusta, na której wykryto DNA pasujące do potmków siostry Koźmińskiego, to ta sama, którą znaleziono przy zwłokach Catherine Eddowes, czyli czwartej kanonicznej ofiary Rozpruwacza...

– I to cię tak oburzyło?

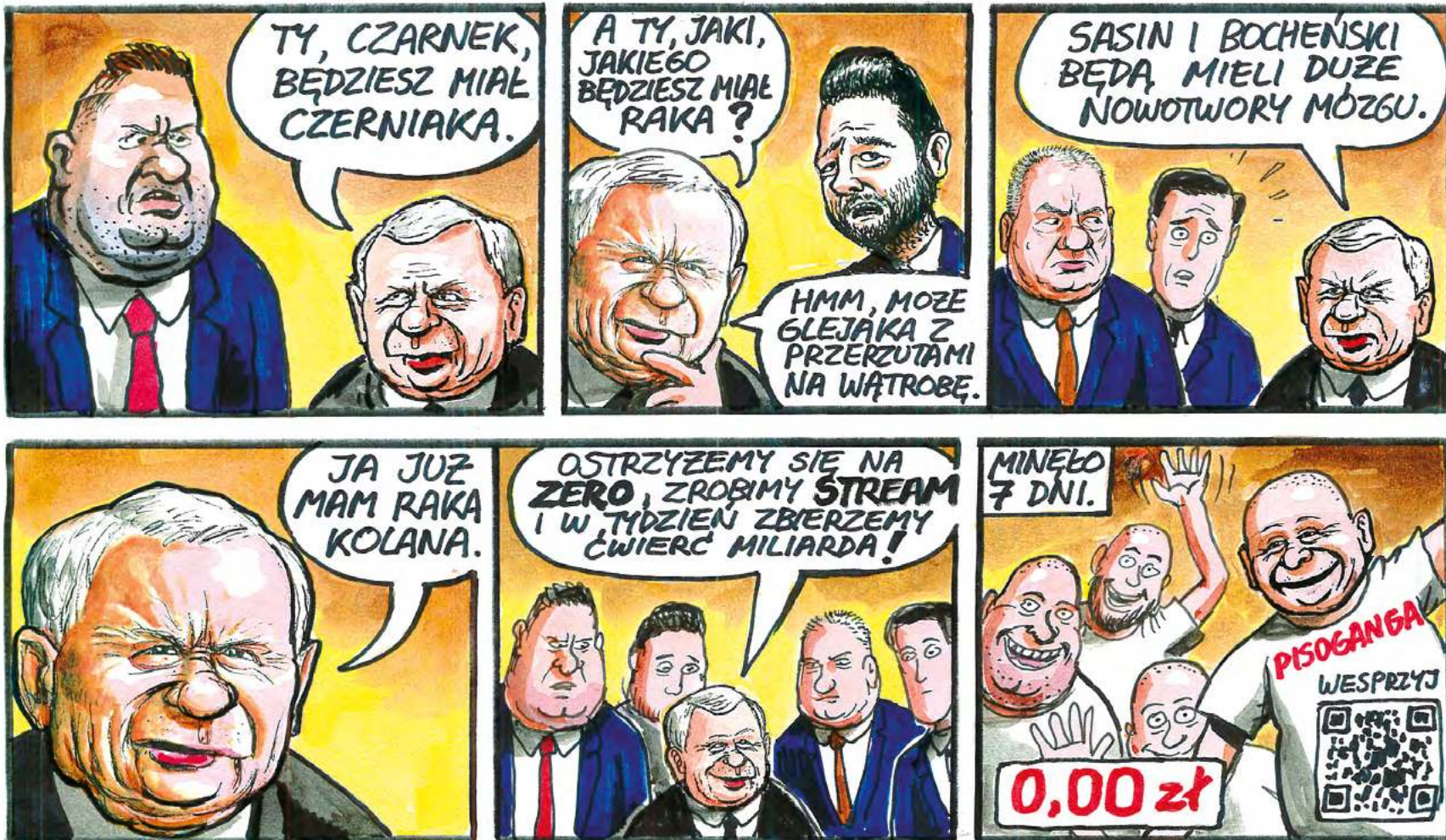
– Oczywiście. Poczułam się dotknięta w moim patriotyzmie! Żeby nam odmawiać naszego Rozpruwacza?! Jaki inny Polak stał się ikoną popkultury?

– Jan Paweł II.

– Wolę Kubę Rozpruwacza.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI